

H. Jezierski

ZWYCIĘZCY BIEGUNA

Cz. I.



ZWYCIĘZCY BIEGUNA.

ZWYCIĘZCY BIEGUŃA

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA



PRZEZ

EDMUNDA JEZIERSKIEGO.

Dodatek do «N. Świata»
za kwiecień 1912 r.

WARSZAWA
NAKLADEM MICHAŁA ARCTA
i «NASZEGO ŚWIATA»



45639/1

K-86/37/81980

I.

Fantazja magnata.

Dzienniki szeroko po kraju całym rozgłosiły wieść, że Stanisław Boniecki, znany ogólnie magnat, organizuje kosztem swym wielką wyprawę, zadaniem której będzie osiągnięcie pełnego tajemnic, niezbadanego dotychczas bieguna północnego.

Zrazu podano o tem krótkie, treściwe notatki, a gdy w dni parę nie nastąpiły zaprzeczenia, dzienniki zamieściły cały szereg artykułów, jedne, z entuzjazmem dla porywów polskiej myśli, która nie dała się w dążeniach swoich innym wyprzedzić; inne zaś z ironją traktowały te zachcianki magnata polskiego, porywającego się, jak twierdziły, bez żadnych widoków powodzenia, po laury Nansena i Peary'ego.

Uważano to tylko jako wybryk fantazji pańskiej, bez żadnego realnego znaczenia. Odzywały się nawet głosy, potępiające kategorycznie cały projekt, wychodząc z założenia,

że setki tysięcy rubli pójdą zagranicę, bez najmniejszej dla kraju korzyści, że na zachciance magnackiej z bogacą się tylko obcy, a przede wszystkim Niemcy.

Wszystkim tym wieściom ani zaprzeczał, ani też przytwierdzał sam pan Boniecki, który stanowczo uchylał się od wszelkich wywiadów dziennikarskich, a otoczenie jego milczało jak grób i ani słówka wycisnąć z niego nie było można.

Powiększyła jeszcze bardziej tę burzę w szklance wody, pogłoska o osobie tego, kto miał stanąć na czele całej wyprawy. Nazwisko Jana Stańczaka nie było nikomu znane. Nikt o nim nie słyszał i nie mógł nic konkretnego na razie powiedzieć.

Wszystkowiedzący jednak dziennikarze zaczęli zaraz szperać, szukać— i wnet do wiadomości publicznej podali, co następuje;

«że ów Stańczak był synem prostego chłopca, zagroda którego sąsiadowała z olbrzymimi dobrami pana Bonieckiego;

«że, spotkawszy go jako dziesięcioletniego chłopca w polu, zajętego paszeniem bydła, zachwyił się do tego stopnia dawaniami przez niego odpowiedziami, że zajął się losem jego i na swój koszt kształcić kazał;

«że po ukończeniu szkół w Warszawie, młody Stańczak, wciąż na koszt swego opiekuna, wyjechał do Paryża, gdzie wstąpił do Instytutu

politechnicznego, który ukończył z odznaczeniem;

«że następnie zajął się sprawą budowy aeroplanów, a nawet dokonał w tym zakresie kilku wynalazków i udoskonaleń, przyczem zyskał opinię jednego ze zdolniejszych pilotów;

«że interesował się również marynarką, a nawet rok cały przesłużył jako ochotnik we flocie francuskiej;

«że zajmował się i naukami przyrodniczymi, oraz że napisał parę rozprawek w tym przedmiocie;

«że unikał przytem wszelkiego rozgłosu i mimo swych lat młodych, gdyż liczył ich zaledwie 26, dnie całe spędzał przy pracy w gabinecie, albo też w pracowni, urządzonej na tyłach wspaniałego pałacu pana Bonieckiego w Alejach Ujazdowskich.

Pochodzenie Stańczaka dołało jeszcze oliwy do ognia. Jakto, więc ten syn chłopski ośmiela się nakłaniać swego dobrodzieja do trwonienia pieniędzy na cele nieprodukcyjne! On, ten nieznanany nikomu, ma stanąć na czele tego przedsięwzięcia, z pominięciem tylu sław patentowanych, znanych nie tylko w kraju, ale, ba! i za granicami jego?

I większość prasy miotała gromy potępienia na całe to przedsięwzięcie a z nią łączyła się i większość czytelników.

Tymczasem, gdy tak wszyscy gorąco roztrząsali kwestję całej wyprawy, w gabinecie pana Bonieckiego, przy biurku, założonem papierami oraz gazetami, w których czerwonym ołówkiem poznaczone były wszystkie artykuły, odnoszące się do zamierzonej wyprawy, siedział on sam, mężczyzna lat średnich, wyniosłej postawy, o twarzy pięknej, orlich rysach, podobien do tych dawnych rycerzy kresowych, przodków swych, którzy piersiami swemi bronili i zasłaniali Rzeczpospolitą przed napadami pohańców.

Obok niego, z boku biurka, siedział młody mężczyzna, wysmukły o twarzy niepięknej, rysach grubych, lecz rozjaśnionych jakimś utajonym wewnątrz ogniem duchowym, płonącym w błękitnych oczach jego.

Pan Boniecki z uśmiechem ironicznym na ustach przeglądał wszystkie artykuły w dziennikach, wreszcie, zwracając się do Stańczaka, spytał:

— Cóż ty na to?

— Nic—odrzekł ten spokojnie—to co mówią o mnie, obojętnem jest dla mnie zupełnie. Przykrem mi jest tylko, że pan stał się z mojego powodu przedmiotem napaści.

— Mój kochany—odparł Boniecki z łagodnym uśmiechem—wiesz dobrze, że w czynach swoich nie zwykłem nigdy zważać na czyjeśkolwiek zdanie i że zawsze robię to, co uwa-

zam sam za stosowne i właściwe. I, dzięki Bogu, źle na tem nie wychodzę. Ta cała gadanina zasługuje tylko na to—dokończył zmiąwszy w jeden pęk wszystkie leżące na biurku gazety i wrzuciwszy je do stojącego obok kosza.

— Powiedz mi lepiej, jak ci się powiodło w podróży? — rzekł po chwili.

Stańczak poprawił się w fotelu.

— Udało mi się w Chrystjanji zdobyć kopje rysunków konstrukcyjnych «Frama» nansenowskiego. Dokonałem w nich niezbędnych poprawek i uzupełnień, odpowiednio do naszych celów i według nich zamówiłem nowy okręt w warsztatach okrętowych w Gdańsku.

— Dobrze zrobiłeś — pochwalił go pan Boniecki,—lecz czy będzie gotów na czas?

— Właściciele zakładów przyrzekli mi wykonać go za półroka, a znając punktualność ich, można być pewnym, że dotrzymają obietnicy.

— Czy to Niemcy? — pytał dalej Boniecki.

— Nie — odrzekł Stańczak — znając i podzielać zapatrywania pańskie co do Niemców, wybrałem firmę, właściciele której są Mazurami z Pomorza, Mazurami, którzy zwyczajko oparli się fali germanizacyjnej i którzy w warsztatach swoich zatrudniają samych Polaków.

— Bardzo dobrze — jeszcze raz pochwalił

go Boniecki — lecz jak będzie z załogą? Czy zdołasz ją skompletować z samych Polaków?

— To nie będzie trudne... Wszak na połowie okrętów, kursujących po Bałtyku i morzu Niemieckiem, załogi składają się przeważnie z dzieci Polski, z dzielnych Mazurów Pomorskich, o których matka Polska zda się zapomniała, a którzy, mimo to, od setek lat zwycięsko opierają się naciskowi Niemców. A wśród marynarzy Francji, zwłaszcza między oficerami, iluż jest rodaków naszych?

Na pierwsze wezwanie stawiają się ich dzieśiątki. Na okręci naszym, który ma wslawić imię Polski, nic nie może być obcego. Wybudowany z polskich sosen i dębów, z polskiego żelaza i stali, w polskich fabrykach, rękami polskich robotników wyrobione mieć będzie maszyny; aż do najdrobniejszych szczegółów wszystko z naszego będzie materiału, w naszych wykonanych zakładach. Załoga cała będzie polską, tak że dla niej pokład tego okrętu, rzuconego na burzliwe fale Oceanu północy, będzie częścią Ojczyzny, każdą cząsteczką swoją przypominać im ją będzie. Uczyni to ich odporniejszymi na niebezpieczeństwo, doda hartu i wytrzymałości w chwilach smutnych i ciężkich, jakie napewno nieraz w ciągu podróży napotkają.

Mówił z zapalem, który w zupełności przeobraził twarz jego, nadając jej wyraz jakiegoś uduchowionego piękna. Pan Boniecki patrzył

na mówiącego z uśmiechem przyjaznym, a gdy skończył, rzekł:

— Masz słuszność, niech pokład statku tego stanie się dla nich częścią Ojczyzny, niech dążąc na nim naprzód, mają ją wciąż na myśli, dla jej dobra i pożytku pracują. Niech myśl o niej będzie najsilniejszą dla nich podniętą.

Wstał Stańczak, chcąc się pożegnać i wyjść z gabinetu, gdy naraz rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

— Proszę! — rzekł pan Boniecki.

Drzwi się otworzyły, stanął w nich lokaj w liberji i skłoniwszy się z szacunkiem, rzekł, podając bilet na tacy:

— Pan ten prosi o przyjęcie, ma ważny interes.

Boniecki wziął bilet do ręki, rzucił nań okiem i z pewnem zdziwieniem przeczytał:

Joachim Narbutt

dr. nauk przyrodniczych.

— Kto to jest? — zapytał, zwracając się do Stańczaka.

— Kto to jest? — odrzekł tenże — człowiek znakomitej wiedzy, przyrodnik i badacz, któryby zaszczyt przyniósł każdemu z uniwersytetów świata, wykładając w nim. Lecz tak umiłował Warszawę, że wszelkie propozycje odrzucał, a tu, u nas, dzięki panującemu dotychczas systemowi szkolnemu, kontentować się

musiał, dla chleba, nauczaniem w szkołach średnich. Cichy, skromny, oddany tylko nauce i badaniom swoim, z bogacił wiedzę wieloma dziełami, obfitującemi w mnóstwo zupełnie nieznanych i oryginalnych spostrzeżeń. Niestety jednak, społeczeństwo u nas nie zwróciło na nie uwagi, zagranica tylko oddała hołd należny jego wiedzy, mianując go członkiem honorowym wszystkich prawie instytucji naukowych.

Ze zmianą stosunków szkolnych u nas, jakby odżył stary profesor, mogąc światło swej wiedzy przelewać w umysły młodzieży w ukończonym języku ojczystym.

Z uwagą wysłuchał pan Boniecki słów Stańczaka i zwróciwszy się do lokaja, rzucił:

— Prosić!

Lokaj zniknął, a po chwili drzwi się rozwarły i na progu stanął mężczyzna, siwy jak gołąb, z krótko przyszywoną brodą, z twarzą pomarszczoną, lecz o oczach promiennych, młodzieńczych. Mimo, że barki jego okrywał stary, wytarty na szwach surdut, mimo, że postać jego sucha była, drobna i zawędła, z całej osoby jego bił taki majestat wiedzy, że Boniecki odruchowo prawie powstał z miejsca swego i skłoniwszy się z szacunkiem gościowi, rzekł:

— Witam pana... Proszę, zechciej pan zająć miejsce.

A gdy profesor usiadł, spytał:

— Czem mogę służyć?

Profesor milczał przez chwilę, jakby zbierając myśli, wreszcie rzekł:

— Dowiedziałem się, że organizuje pan wyprawę do bieguna północnego. Chciałem się dowiedzieć, czy to jest prawdą?

— Tak jest — odrzekł pan Boniecki — organizuję.

— A więc — tu profesor wyprostował w fotelu swą drobną postać, a oczy mu błysnęły — mam do pana prośbę.

— Jaką? — zapytał Boniecki — z chęcią uczynię zadość każdej.

— Ażebym mógł również wziąć udział w tej wyprawie.

Zdumienie błysnęło w oczach Bonieckiego. Przechylił się w tył i po chwili zapytał:

— Pan?.. profesorze?.. w wyprawie? Ależ to niemożliwe!

— Myśli pan, że nie wytrzymam trudów wyprawy? — spytał profesor — nie obawiaj się tego. Obeznanym jestem z niemi a i zimno nie jest mi obce, zaznajomiłem się z niemi dobrze, gdym poniewolnie przemieszkować musiał w kraju Jakutów.

Tu pan Boniecki zwrócił pytający wzrok na Stańczaka, który przez cały ten czas siedział ukryty w cieniu. Młody człowiek zrozumiał zawarte w niemi pytanie i odrzekł:

— Udział profesora w wyprawie byłby z wielu względów nader pożądanym i cennym.

Profesor teraz dopiero zwrócił uwagę na niego i przypatrzawszy mu się bacznie, po chwili zawołał z odcieniem radości w głosie:

— Ależ to Janek Stańczak, mój uczeń!

Stańczak wstał z miejsca i pochylając się do ramienia profesora, rzekł wzruszonym głosem:

— A więc pamiętasz mnie, profesorze? Nie zapomniałeś mnie przez przeciąg lat tylu!

— Jaby cię zapomniał?...—zawołał profesor — ciebie, który byłeś jednym z najlepszych moich uczniów! A toż zaraz, gdy tylko się dowiedział, że stoisz na czele tej wyprawy, powiedziałem sobie: Trzeba iść pogadać z Jankiem, on mnie zrozumie i zabierze z sobą, bym tam, pod biegunem, mógł prowadzić me badania. Daruj staremu, że nie poznał cię odrazu, ale siedziałeś w cieniu, a przytem zmieniłeś się bardzo przez ten czas.

Pan Boniecki z uśmiechem słuchał słów starego profesora, a gdy ten skończył, rzekł:

— No, wobec decyzji przywódcy wyprawy, kwestja została załatwioną. Profesor przyjmuje w niej udział. Tylko proszę być gotowym na czas.

— A kiedy wyruszamy? — spytał profesor.

— Najwcześniej za pół roku—odrzekł Stańczak — na ten czas wykończony będzie nasz

okręt, oraz aeroplany, z motorami specjalnej konstrukcji o znacznej sile nośnej. Przytem na biegunie zacznie się wtedy lato...

— Za pół roku — rzekł profesor — a więc będę miał czas zaopatrzyć się we wszystko, co mi do badań moich będzie potrzebnem.

— Tak, a my zarezerwujemy dla pana profesora specjalną kajutę na okręcie — rzekł Stańczak.

Profesor wstał i podając rękę panu Bonieckiemu, rzekł:

— Dziękuję panu raz jeszcze za wysłuchanie mej prośby — i żegnam.

— Do widzenia, raczej—odrzekł p. Boniecki, ściskając gorąco dłoń jego — wszak przed wyjazdem zobaczymy się nieraz.

— Być może — odparł profesor i uściśnawszy rękę Stańczaka, wyszedł.

— No — rzekł po jego wyjściu Boniecki — wyprawa nasza przyciągać zaczyna ludzi prawdziwej wiedzy, którzy zapatrują się na nią trochę inaczej, niż gazeciarze.

— Tak jest — rzekł Stańczak — a udział takich ludzi, jak profesor Narbutt, ze wszechmiar jest pożądanym i cennym!

Powstał znów, by się pożegnać, gdy znów rozległo się pukanie.

— Cóż tam nowego? — zawołał Boniecki — proszę!

Wszedł służący, niosąc na tacy kopertę i podając ją, rzekł:

— Teraz, to jakiś bardzo dziwnie wyglądający pan przyszedł i prosi o widzenie. Gdy prosiłem go o bilet, rzekł, podając mi tę kopertę: «Oddaj ją, wystarczy to za wszelką rekomendację».

Zaciekawiony niezmiernie pan Boniecki, wziął ową kopertę do ręki i rozerwał ją. Znajdowała się w niej cienka, błyszcząca blaszka metaliczna, która, gdy ją położył na biurku, powoli unosić się poczęła do góry.

Zdumionemi oczami wpatrywali się wszyscy w to niezwykle zjawisko, wreszcie Stańczak z trudem wykrztusił:

— Metal... lżejszy od powietrza...

Pan Boniecki, zwracając się do niemniej zdumionego tą sceną lokaja, zawołał gorączkowo:

— Proś tego pana, proś jaknajprędzej!

Lokaj wypadł, a po chwili na progu gabinetu ukazała się dziwna zaiste postać.

Był to mężczyzna niskiego wzrostu i nadzwyczaj chudy. Twarz jego, pomarszczoną, o żółtej, prawie oliwkowej cerze, rozjaśniały płonące gorączką czarne oczy, które krył za szklami okularów niebieskich. Lata jego trudno było określić, gdyż mógł ich mieć zarówno dwadzieścia parę, jak i sześćdziesiąt kilka. Bujne, kruczej czarności włosy opadały mu

w nieposłusznych promieniach na czoło, skąd je coraz odgarniał na tył głowy. Ubrany był w surdut, za obszerny na niego, barwy niegdyś czarnej zapewne, a obecnie zielonkawej, pełen plam i wypaleń, spodnie niemniej poplamione i wystrzępione u dołu, oraz wykoszlawione obuwie.

— Ha, ha, ha... — zaśmiał się cicho, spostrzegłszy pełne zdumienia miny Bonieckiego i Stańczaka, wpatrujących się w błyszcząca pod sufitem blaszkę — ładny metal, co? Sam sobie fruwa, bez motorów żadnych i skrzydeł... ha, ha, ha...

— Panie! — zawołał Stańczak, chwytając go za rękę — powiedz, błagam cię, że to nie omdlenie, że mnie wzrok nie myli... że to, co tam, u góry jaśnieje, to naprawdę metal...

Twarz przybysza spoważniała, znikł z niej uśmiech; z powagą wskazując na blaszkę, odrzekł:

— Przysięgam panu, jakem Michał Jerlicz, że to jest metal: twardy, dający się kuć, wynaleziony przeze mnie metal...

— W takim razie — rzekł z zapalem pan Boniecki, wlepiając wzrok w twarz jego — jesteś pan jednym z największych wynalazców naszego wieku!

Tego nie wiem — odrzekł Jerlicz — wiem tylko, że przez cały szereg lat dokonało się tego i owego. Nie szukałem rozgłosu, ani majątku, gdyż



to mi niepotrzebne, lecz teraz, gdym posłyszał, że się organizuje nowa wyprawa, wyprawa polska, mająca na celu wydarcie naturze jej tajemnic, pomyślałem sobie: a nuż mój wynalazek na coś się przyda?

I oto przychodzę z nim do was.

Poczem zwracając się do Stańczaka, spytał:

— Wszakżeż, po dopłynięciu okrętem dokąd tylko można będzie, ma pan zamiar dalszą podróż odbywać na aeroplanie?..

— Skąd pan to wie? — zapytał zdumiony Stańczak.

— Panie, jeżeli kto tak, jak ja, całe życie siedzi w zamknięciu, oddany jednej tylko pracy, nad wydarcie naturze jej tajemnic, ten z musu staje się domyślnym i badawczym. Zanim przyszedłem tu do panów, starałem się przedtem dowiedzieć, coście za jedni i czy można wam zaufać... I oto dowiedziałem się wszystkiego, co chciałem wiedzieć. Bierzcie mój...

Tu mowę jego przerwało wejście lokaja, który niósł depeszę.

— Depesza, Jaśnie Panie — rzekł — woźny z telegrafu mówił, że pilna bardzo.

Boniecki rozerwał opaskę i ze zmarszczoną brwią przebiegł szybko wzrokiem treść depeszy, poczem podał ją Stańczakowi. Ten odczytał ją głośno. Brzmiała jak następuje:

Berlin, dn. 26 września 191... r.
Boniecki. Warszawa.

Królewska Akademia Nauk w Prusach, dowiedziawszy się o organizowaniu polskiej wyprawy do bieguna, wysłała takąż samą z Hamburga, by nie dać się ubiedz. O ile słyszałem, Prusacy mają zamiar odbyć podróż na balonie Zeppelina nowej konstrukcji. Szczegóły przysię później.

Galski.

Na Bonieckiego i na Stańczaka depesza ta wywarła wielkie wrażenie, lecz dla Jerlicza była prawie piorunującą.

— Co?! — zawołał gorączkowo, wysłuchawszy jej. — Prusacy chcą się z nami ubiegać o pierwszeństwo? Chcą nam je wydrzeć. Nie doczekanie ich... Zobaczymy to... Panowie, bierzcie moje wynalazki, róbcie co chcecie, tylko nie pozwólcie im odnieść zwycięstwa nad nami!

A po chwili, ochłonawszy z uniesienia, ciągnął dalej:

— Prawda, wy nie wiecie, jakie one są... To, co tam buja u sufitu, to mała próbka tylko... Przyjdźcie jutro do mnie, do Mokotowa, pytajcie się o laboratorjum Jerlicza. Tam wam wszystko pokażę. A teraz do widzenia. Nie, nie będą oni tryumfować... nigdy... jakem Jerlicz!..

I kiwnąwszy głową na pożegnanie, odrzucawszy w tył nieposłuszną czuprynę, wybiegł z gabinetu.

Boniecki i Stańczak pozostali sami. Przez chwilę trwało milczenie, wreszcie pierwszy spytał:

— Szaleniec to, czy genjusz?..

W odpowiedzi na to Stańczak wskazał tylko na błyszczącą u sufitu blaszkę metalową, jakby przecząc pierwszemu twierdzeniu.

II.

Genjalny wynalazek.

Za rogatkami miejskimi, za opuszczonemi cegielniami, wśród niskich domków kolonistów i otaczających ich ogrody parkanów, mknął wytworny samojazd, w którym zajmowali miejsca, oprócz palacza, Boniecki i Stańczak.

Zatrzymali się na chwilę, zapytując spotkanego po drodze człowieka, gdzie może się znajdować laboratorium Jerlicza.

Ten spojrział na nich ze zdziwieniem a nawet z pewnym przestachem, i wskazawszy im ręką kierunek, czempędzej poszedł dalej, jakby obawiając się czegoś.

Stanęli przed wysokim, z grubych, na czar-

no pomalowanych desek zbudowanym parkanem, zaopatrzonym u góry w gęste, ostro zakończone gwoździe. Brama i furta mocno okute żelazem, sprawiały wrażenie jakiejś niedostępnej fortecy.

— Ho, ho, nasz wynalazca musi tam kryć skarby nielada, kiedy się tak obwarował na wszystkie strony — zauważył Boniecki na widok siedziby Jerlicza.

Wysiedli z samochodu i zbliżywszy się do furtki, pociągnęli za wiszącą przy niej rączkę dzwonka.

Odpowiedzią było im głośnie ujadanie całej sfory psów.

Czekali dość długo, aż wreszcie dał się słyszeć trzask jakiś, ukazał się w furtce otwór niewielki, błysnęło w nim oko i czyjś gruby głos spytał:

— A czego tam?

— Do pana Jerlicza — odrzekł Stańczak — proszę wpuścić.

— A kto taki? — zapytał znów tenże sam głos.

— Z Alei Ujazdowskich, proszę zameldować lub otworzyć furtkę — niecierpliwie zawołał Boniecki.

Długo jeszcze czekać musieli, aż wreszcie zazgrzytał klucz w zamku, otworzyła się furtka i na progu ukazał się Jerlicz, w bluzie robotniczej, poplamionej i podartej.

— Ach, to panowie — zawołał, wyciągając do nich rękę na powitanie — nie spodziewałem się was dziś. Pozwólcie, proszę, dalej, do mojej pracowni.

— Hej, Andrzej! — wołał następnie do stojącej na boku jakiejś ponurej postaci — uspokój psy i przyjdź do laboratorium.

Nerwowo ruchliwy, opowiadając coś żywo z gestykulacją, Jerlicz wiódł swych gości do tak zwanej pracowni.

Boniecki ze Stańczakiem ciekawie rozglądali się wokoło. Dziedziniec zarosły zielskiem i trawą, zapuszczony był do ostatecznych granic. W głębi znajdował się budynek o wielkich zakratowanych oknach, zbudowany z czerwonej cegły, zakończony z jednej strony przybudówką, oszkloną prawie że ze wszystkich stron, z drugiej zaś, wyniosłym kominem fabrycznym, z którego szedł dym.

— Ależ do pana trudno się dostać — rzekł Boniecki — zupełnie jak do jakiej fortecy!

— Trudno, panie, trudno — odrzekł ten z zagadkowym uśmiechem — za wielkie tu się mieszczą skarby, muszą też być odpowiednio strzeżone!

Stanęli na progu olbrzymiej, oszklonej ze wsząd sali, na środku której stały wielkie stoły, założone rysunkami i papierami z wyliczeniami, po bokach modele maszyn o dziwnych,

potwornych kształtach, niewiadomego przeznaczenia.

Pod jedną ze ścian wznosił się olbrzymi piec do doświadczeń chemicznych, pełen retort, napełnionych różnobarwnymi cieczami. Przez duże szklane drzwi widać było wielką hallę, zastawioną przeróżnymi maszynami, będącymi w ciągłym, szybkim ruchu. Pomimo to jednak, nie było słyhać najmniejszego stuku ani hałasu.

Coś tajemniczego było w tych dziwnych maszynach, jakby ukrywających źródło swej siły i w szybkim biegu ich kół rozpędowych.

— Zgadnijcie, panowie, siłę tych motorów? — z dumą spytał Jerlicz, wyprostowując swą drobną postać — to są wieczne motory, wieczne, dopóki ziemia obraca się około słońca i około swej osi, dopóki istnieje nasza planeta! Nie potrzebne mi są ani parowe, ani dynamo-maszyny! Dostarczycielem energii dla mnie jest — sama ziemia.

Tupnął nogą w ziemię, jakby chcąc tem dowieść swego nad nią władztwa.

— Ujarzmiłem ją — ciągnął dalej — ujawniła mi swe tajemnice. Nie paląc węgla, benzyny, gazu, nie używając kotłów parowych i generatorów elektrycznych, wprost z naszej planety czerpię energię w takiej ilości, w jakiej zachcę. Zmusiłem marną planetę naszą do pracy. Inni zużytkowali już prądy elektryczne po-

wietrzne, ja sięgnąłem po nie w głąb ziemi. Dość już naobracała się ona wokół siebie i słońca, zbierając nadmiar energii, który następnie szafowała na cyklony, burze, huragany, na niezliczoną ilość wybuchów żywiołowych. Pokorna — pracuje teraz tu, u mnie.

Wyprostowany, z dumą wskazał na będące w ciągłym ruchu maszyny. Postać jego, karykaturalna prawie, przemieniła się zupełnie. Wyrosła, zolbrzymiała, nabrała jakiejś żywiołowej mocy i potęgi. Oczy płonęły, a rysy twarzy wypiękniały.

— Życie swe całe, lata, majątek, wszystko, wszystko poświęciłem tej pracy — ciągnął dalej — i uwieńconą została pożądanym wynikiem. Dzięki tym motorom, przy niewielkim koszcie, rozporządzać mogę potężną energią. Mogę mieć motor o sile, jakiej tylko zechcę. Lecz to jest jeszcze niczem wobec tego, co przedstawię panom teraz.

Podszedłszy do umieszczonej w ścianie kryjówki, otworzył ją specjalnym kluczem i wy dobył z niej coś w rodzaju płaskiej szkatułki, błyszczącej od pokrywającego ją czarnego lakieru. Na pokrywce przymocowany był krąg mosiężny z podziałkami i rączka, przytwierdzona do środka, a drugim końcem obracająca się wokół owego kręgu. Skrzynkę tę położył na wadze.

— Patrzcie panowie — rzekł — waży ona okrągłe 50 funtów.

Przesunął potem rączkę o 15 podziałek.

-- A teraz — rzekł — tylko 35 funtów... Jeszcze o 10 — teraz 25 funtów. Jeszcze o 25, do 0, i...

Zdjął wszystkie gwichty z wagi, i szalki okazały się na jednym poziomie.

— A teraz — podniósł skrzynkę wyżej, odjął od niej ręce, i zawisła w powietrzu, bez żadnych podpórek, bez żadnych umocowań.

— Do tej pory — ciągnął dalej Jerlicz — przesunęliśmy rączkę tylko o 50 podziałek. A jest ich wszystkich 400, każda odpowiada 1 funtowi, zatem skrzynka ta może podnieść jeszcze 350 funtów.

Przymocował do specjalnego haka u spodu skrzynki gwicht pudowy i przyczepił do niego mocny sznurek.

— Teraz przesuwam rączkę na 45 podziałek. Puszczam... patrzcie panowie...

Odjął ręce od skrzynki i ta z wolna podnosić się zaczęła do sufitu pracowni. Po chwili Jerlicz zmusił ją przy pomocy sznurka do powrotu.

— Zrobimy jeszcze jedno doświadczenie — rzekł, i zwracając się do Stańczaka spytał — ile pan waży?

— Sto ośmdziesiąt sześć funtów — odrzekł młody człowiek.

— Znakomicie!

W jednej chwili zamiast gwichtu przycze-
pił do skrzynki trapez i podając go Stańcza-
kowi, rzekł:

— Proszę, niech pan trzyma mocno...

Rzekłszy to, przesunął rączkę na dwieście
podziałek. W jednej chwili skrzynka uniosła
się do góry, pociągając za sobą ucze-
pionego u trapezu Stańczaka, który przez czas pewien
wisał u stropu sali, aż Jerlicz ściągnął go z po-
wrotem na dół przy pomocy sznura.

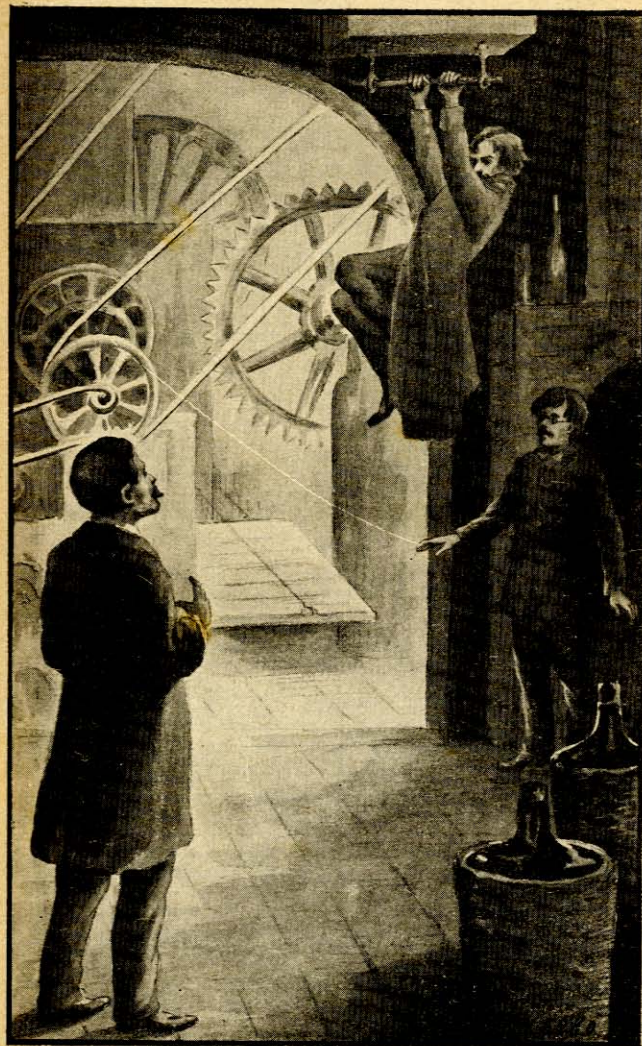
Skończywszy te doświadczenia, schował
tajemniczą skrzynkę do kryjówki, mówiąc do
zdumionych Bonieckiego i Stańczaka.

— Widzieliście, panowie, mój wynalazek,
i z łatwością ocenić możecie, jakie nieobli-
czalne korzyści oddać może przy zastoso-
waniu go do żeglugi powietrznej. Lecz nie od-
dam go tej całej, dzisiejszej ludzkości, gdyż
zastosowałyby go ona do celów wojennych, do
mordowania podobnych sobie istot, a ja go dla
innych, wznioślejszych przeznaczyłem celów.
Wam go oddaję, niech służy dla wzbogacenia
wiedzy, dla dokonania nowych zdobyczy...

Lecz nie jest to jeszcze wszystko, co chcia-
łem wam przedstawić!

To rzekłszy, przeprowadził gości swych do
obszernej przybudówki, gdzie stał pośrodku ol-
brzymi kocioł do topienia metali.

Stańczak od jednego spojrzenia zauważył,



...skrzynka uniosła się do góry, pociągając za sobą Stańczaka...

że podłoga tam pokryta była izolatorem, a po bokach stały dwie potężne dynamomaszyny.

Jerlicz tymczasem przywołał ponurego pomocnika i polecił mu przynieść dwie sztaby specjalnego aljażu.

Uginając się pod ciężarem ich, Andrzej przyniósł jedną po drugiej i Jerlicz, ułokowawszy je w kotle, umieścił pomiędzy nimi blaszkę metalową ze specjalną kompozycją, poczem połączył każdą sztabę z aparatem elektrycznym.

Dokonawszy tego, puścił silny prąd elektryczny. Pod działaniem tegoż metal przybierał kolejno barwy: ciemnopurpurową, wiśniową, błękitną, aż wreszcie stał się oślepiająco białym i błyszczącym.

Blask zagasił, Jerlicz puścił na sztabę strumień wody.

— Gotowe — rzekł do patrzącego na to Bonieckiego i Stańczaka — proszę was, panowie, podnieście te obydwie sztaby.

Boniecki i Stańczak ze zdumieniem spojrzeli na niego, dziwiąc się, że poleca im podnieść sztaby ogólnej wagi conajmniej 20 pudów.

— No proszę, proszę — zachęcał Jerlicz, widząc ich wahanie — nie obawiajcie się panowie.

Przystąpili do spoczywającego w kotle me-

tal, i wyteżywszy siły, zabrali się do podnoszenia go.

Lecz któż opisze zdumienie ich, gdy potężną płytę metalu podnieśli do góry lekko, jak piórko.

— Wyżej, wyżej, wyżej, panowie! — wołał Jerlicz uradowany, z iskrzącemi się oczami, skacząc wokoło...

Podnosili ją teraz coraz wyżej i wyżej, dokąd tylko ręce wyciągnąć mogli.

— A teraz, puście go panowie, puście! — zawołał Jerlicz.

Nie zrozumieli zrazu polecenia jego i dopiero, gdy powtórzył je, odjęli ręce i machinalnie odskoczyli w bok, obawiając się, że upadający metal pomiażdży im nogi.

Lecz ku bezgranicznemu zdumieniu ich płyta zawisała w powietrzu, nie opadając na ziemię.

Boniecki i Stańczak ze zdziwieniem patrzeli na to, nie rozumiejąc, czy to sen, czy jawa.

Widząc ich osłupienie Jerlicz rzekł tonem wyjaśnienia:

— Panowie, przez połączenie metalu z metaloidami udało mi się stworzyć nową substancję, która pod działaniem prądu elektrycznego, staje się bardziej radioaktywną od samego radjum. Przy przepuszczaniu prądu, oddzieliłem sztaby warstwą izolacyjną i poddawszy je działaniu prądów elektrycznych jednakowej siły,

otrzymałem równowagę ich w powietrzu. Jeżeli puszcze silniejszy prąd na górną sztabę, to wywołam tem ciężenie ku ziemi — i przeciwnie, jeżeli silniejszy prąd puścimy na dolną sztabę, to otrzymamy ruch w górę.

— Jednym słowem — zawołał Stańczak — rozstrzygnął pan w zupełności kwestję żeglugi powietrznej!

Jerlicz z uśmiechem na ustach odrzekł po prostu:

— Zdaje mi się, że tak!

— Lecz skądże weźmie pan energję? — spytał go Boniecki.

— Dostarczy mi jej sam metal — odparł Jerlicz — przy pomocy odpowiedniego prądu możemy skierować substancje radjoaktywne w jaką chcemy stronę, jak również w dół i w górę, i to z wszelką żadaną szybkością, zależnie od siły prądu.

— A więc — zawołał Stańczak — wynalazek pański może przynieść nieobliczalne wyniki.

— Tak jest — odrzekł Jerlicz — z aljażu tego stworzyć można magnesy wprost przerażającej siły. Należy tylko powierzchnie radjoaktywne ułożyć naprzemian z powierzchniami namagnewanymi.

— Tak, panowie — ciągnął dalej Jerlicz z zapalem — dokonałem wynalazku tego, lecz zastosowanie praktyczne znajdzie on dopiero podczas waszej wyprawy. Z pańską pomocą, pa-

nie Stańczak, zbudujemy z niego nowy typ aeroplanu, który zwycięży wszystkie inne, zwycięży przestworza nawet! Na nim to dotrzemy do bieguna północnego, wydrzemy mu tajemnicę jego, a przedewszystkiem zwyciężymy Prusaków.

Zapał jego udzielił się Bonieckiemu i Stańczakowi. Ujęli w silnym uścisku dłonie jego i rzekli głosem pełnym zapału:

— Zwyciężymy ich, pokonamy ich. Dowiedziemy im, że wiedza ich równać się nie może z lotnością i potęgą geniuszu polskiego.

Chwilę stali tak, wpatrując się w unoszącą się nad ich głowami płytę metalową, wreszcie Jerlicz pierwszy otrząsnął się z tego pełnego refleksji nastroju i rzekł:

— Szkoda, panowie, tracić czasu. Musimy zabrać się jaknajprędzej do pracy, ażeby wybudować aeroplany, zwłaszcza, że musimy całą robotę naszą trzymać w tajemnicy. Nie możemy dopuszczać do niej nikogo. Mam zaufanego pomocnika w Andrzeju, wierności którego pewien jestem zupełnie. Może i pan ma kogo panie Stańczak?

— Mam — odrzekł młodzieniec stanowczym głosem po krótkim namyśle — zaraz dziś przystąpię do opracowania konstrukcji owych aeroplanów, pojutrze odbędziemy naradę i wnet przystąpimy do pracy. Musimy również w zupełności zmienić plan naszej podróży.

— Lecz okręt będzie potrzebny? — wtrącił się do rozmowy Boniecki.

— Tak, nawet niezbędny — odparł Stańczak. — Służyć on nam będzie, zaopatrzony w żywność, za podstawę wszystkich działań naszych.

Uścisnęli gorąco dłoń Jerlicza i pożegnawszy się z nim krótkim: — Do jutra! — wyszli z laboratorium.

Wsiadłszy do samochodu, pomknęli w stronę rogatek. Przez drogę nie zamienili z sobą ani jednego słowa, zajęci rozmyślaniami nad dziwami, świadkami których dopiero co byli.

III.

Przygotowania.

Zawrzała gorączkowa praca w laboratorium Jerlicza za rogateką Mokotowską.

Zaraz na drugi dzień podążył tam Stańczak, który w przeciągu nocy zdołał naszkicować plan aeroplanu nowego zupełnie systemu, zastosowany do materiału, z którego miał być zbudowany.

Przedyskutowali go z Jerliczem, dokonali niezbędnych zmian i poprawek, a ze względu na krótki już czas, postanowili przystąpić do pracy natychmiast.

Tegoż jeszcze dnia wysłał Stańczak do Paryża depezę terminową, następującej treści:

Henryk Peński.

Paryż. Zakłady Blériot'a.

Przyjeżdżaj. Jest robota. Nadzwyczaj pilne. Stańczak.

W trzy godziny potem otrzymał krótką odpowiedź:

Jadę. Henryk.

I rzeczywiście w trzy dni później, z samego rana, gdy Stańczak wybierał się już, by udać się do laboratorium, wpadł do pokoju jego mężczyzna młody, wysmukły, brunet, z twarzą spaloną przez wichry i burze, a rzucając na krzesło niewielką walizkę, zawołał, porywając w objęcia Stańczaka:

— Jestem! Jak się masz, chłopie!

Uścisnęli się serdecznie, poczem Stańczak, usadowiwszy przyjaciela w fotelu, rzekł:

— Nie spodziewałem się ciebie tak prędko. Myślałem, że przyjedziesz jutro lub pojutrze.

— Cóż ty sobie myślisz! — zawołał z udanym oburzeniem Peński — że ja pozostanę na wezwanie, że jest robota, tu, u nas, w kraju, głuchym? Że będę się namyślał i godzina-

mi manatki pakować! Gdy tylko dostałem depeszę od ciebie, w jednej chwili spakowałem swą walizkę, na pociąg i oto mnie masz u siebie!

— Dziękuję ci — rzekł Stańczak — ale pewnie zmęczony jesteś długą podróżą. Kładź się teraz i śpij, a gdy odpoczniesz, to pogadamy z sobą.

— Co! — zawołał z oburzeniem Peński — ja, zmęczony? Czemu? Temi kilkunastu godzinami jazdy? Ależ, człowiecze, kpisz sobie najwyraźniej ze mnie! Pozwól mi się tylko wykapać, a wnet będę taki rzeźki, jakbym nigdy nie jechał koleją. Zresztą, przez całą drogę spałem jak suseł.

Polecił więc Stańczak przygotować kąpiel dla towarzysza, a gdy ten oblał się zimną wodą i spożył krótkie śniadanie, zeszedł z nim na dół, gdzie oczekiwał na nich samochód, który miał zawieść ich do laboratorjum Jerlicza.

Na wszystkie natarczywe dopytywania się Peńskiego, Stańczak odpowiadał:

— Nic ci nie powiem! Zobaczysz sam, gdy staniemy na miejscu.

Gorejąc niecierpliwością, podążał z nim Peński do Mokotowa i znalazłszy się w obrębie «laboratorjum» ze zdumieniem przyglądał się wszystkim, znajdującym się tam maszynom.

A cóż dopiero mówić o tem, gdy mu Jerlicz kolejno zademonstrował wszystkie wynalazki swoje.

Szeroko roztwartemi oczami wpatrywał się naprzemian w te dziwy, to na Jerlicza. Wreszcie spytał:

— To pan... pan, wszystko wynalazł?..

— Tak, ja.

— Ależ, panie! pan ma miljardy w rękę. Każde państwo z przyjemnością da je panu, byleś tylko pozwolił im korzystać z wynalazku swego dla celów militarnych.

Jerlicz się zachnął.

— Nie na to — zawołał — lata całe pracowałem i wszystko poświęciłem, by owocem mych trudów i walk było zabijanie ludzi. Wynalazek mój może służyć tylko Polsce i nauce! Im go poświęciłem i nikomu więcej nie oddam.

Schylił nisko głowę Peński przy tych słowach i w milczeniu, gorąco ucisnął dłoń jego.

Przeszli potem do pracowni Jerlicza, gdzie ulokował się ze swymi planami i Stańczak, który tam dopiero wtajemniczać zaczął Peńskiego w plany swoje.

Pierwsze jego słowa były:

— Jedziemy do bieguna północnego aeroplanem, zbudowanym na zasadzie wynalazków pana Jerlicza. Jedziesz z nami?

Przez chwilę Peński milczał, jakby ze zdu-

mienia nie mogąc wyrzec ani słowa, wreszcie zawołał:

— Jak możesz nawet pytać o to. Żebyście jechali nawet do piekła samego, a ja miałbym pewność, że zobaczę tam coś nowego, jechałbym z wami, a nie dopiero do bieguna. Nie zabawiaj się gadaniną, a lepiej przedstaw mi wszystkie plany swe co do wykonania podróży.

Stańczak przełożył mu rysunki projektowanego przez siebie aeroplanu, oraz cały szkic zamierzonej podróży.

Peński wysłuchał go uważnie, wreszcie spytał:

— Skąd macie zamiar rozpocząć podróż?

— Jakto skąd?..

— No, skąd zamierzacie wznieść się aeroplanem?

— Stąd, z Warszawy — odrzekł mu Stańczak.

— To jest błędne — odparł mu Peński — z wielu względów będzie to dla was bardzo niedogodne. Wszak mówiliście mi, że budujący się w Gdańsku okręt, zaopatrzony we wszelkiego rodzaju zapasy, służyć wam będzie za podstawę do działania. Musicie więc z nim utrzymać stały kontakt. Czyż zatem nie byłoby korzystniejszym dla was przewiezienie rozebranego na części aeroplanu do najdalej wysuniętego punktu północnego lądu, zmontowanie go tam i puszczenie się dopiero stamtąd

w drogę? W ten sposób tracicie mniejszy zasób energii, a następnie, macie w okręcie stałą podstawę do działania, przyczem, przy pomocy telegrafu bez drutu, możecie porozumiewać się z załogą okrętu.

— Znakomicie — zawołał Stańczak — plan twój jest bardzo dobry i w zupełności do niego się zastosujemy.

Spojrzał na Jerlicza, który skinieniem głowy potwierdził jego słowa.

— Pozostaje nam więc tylko przygotować wszystkie części aeroplanów, gdyż musimy zbudować dwa lub trzy, następnie okręt przewiezie je z Gdańska do Szpicbergu, gdzie będą zmontowane i wyruszymy w drogę.

— Na kiedy okręt będzie gotowy?

— Fabrykanci gdańscy przyrzekli mi wykończyć go na koniec lutego — odrzekł Stańczak.

— Dobrze zatem. Do połowy marca zostanie naładowany i ostatecznie przygotowany do drogi, w końcu zaś tegoż miesiąca wyruszy w drogę. W połowie kwietnia staniemy na Szpicbergu, gdzie zaraz przystąpimy do pracy. W początku maja aeroplany będą gotowe i będziemy mogli wyruszyć w drogę. Porą ku temu będzie sprzyjającą, gdyż na biegunie wtedy rozpocznie się wiosna. Lody skruszeją i spłyną, tak że okręt będzie mógł z łatwością posuwać się w ślad za nami, ażeby, w razie potrzeby być jak najbliżej nas.

Plan swój przedstawił Peński tonem tak pewnym siebie i kategoriycznym, że ani Stańczakowi ani Jerliczowi nie przyszło do głowy sprzeciwić mu się, zwłaszcza, że plan ten był bardzo jasny, prosty i zrozumiały.

Jerlicz ożywił się znacznie i zawołał:

— Ależ to będzie przepysznie! Całą podróż naszą odbędziemy w czasie, gdy słońce najbardziej promieniami swymi ogrzewa biegun północny i jest najbliżej niego. Skorzystamy z tego, i od promieni jego zapożyczymy energii elektrycznej, która będzie poruszać nasze samoloty.

Zawrzała praca w laboratorium w Mokotowie. Wesoły, pełny życia Peński, który dziwnie przypadł do gustu cichemu, zatopionemu w swej pracy i badaniach Jerliczowi, z taką gorączką rwał się do pracy, z takim zapalem do niej przystępował, że, ażeby, jak mówił, nie tracić drogich chwil czasu, przeniósł się do Jerlicza na mieszkanie, pomimo opozycji i prośb Stańczaka.

I ten od świtu stawał do pracy i wracał od niej dopiero po północy do domu, a i tam jeszcze siedział przy biurku długo w nocy, załatwiając dużą korespondencję w sprawie wyprawy, porozumiewając się z różnymi dostawcami i t. d.

Boniecki codziennie zaglądał do Mokoto-

wa, śledząc bacznie postęp robót przy wyrobie części aeroplanów.

A postępowały one szybko, pomimo, że pracowali nad nimi tylko Jerlicz, Peński i Stańczak, przy czynnej i skutecznej pomocy Andrzeja.

Alarm, wywołany wiadomością o wyprawie w prasie ucichł chwilowo. Mówiono o niej jeszcze z racji ogłoszenia wiadomości o wyprawie niemieckiej, przyczem nie omieszcano poczynić ironicznych uwag o żabie i o koniu, którego kują. Lecz przestano się wkrótce tem zajmować, wobec jakiegoś głośnego skandalu, czemu Stańczak był niewymownie rad, gdyż nic mu już nie przeszkadzało w oddaniu się pracy.

Profesor Narbutt od czasu do czasu odwiedzał go w pałacu Bonieckiego, by dowiedzieć się o postępie przygotowań, pozatem nic więcej.

A praca około przygotowania aeroplanów postępowała z dniem każdym. Budowano je według planu Stańczaka, przyczem różniły się one zasadniczo od wszystkich znanych typów. Za podstawę ich służyły dwie potężne sztaby, z metalu wagi równej wadze powietrza, połączone płytą z tegoż samego radioaktywnego metalu. Na tej podstawie wzniesiony był szkielet ze sztab; puste miejsca między nimi wy-

pełnione były taflami z grubego szkła szlifowanego, tworząc coś w rodzaju klatki.

Wewnątrz była ona podzielona na parę przedziałek, z których jedna służyć miała za mieszkanie dla żeglarzy nadpowietrznych, druga za skład i szpizarnię, w trzeciej zaś mieściła się maszyna elektryczna, dostarczająca prądu, działającego na sztaby i poruszającego aeroplan.

Mieścił się tam również i piecyk elektryczny, mający służyć do rozgrzewania wnętrza klatki oraz do gotowania. Było również urządzone i obserwatorium, ze wszystkimi narzędziami i instrumentami, potrzebnymi do badań atmosferycznych, astronomicznych i magnetycznych.

Trzy miesiące trwała ta wycieńczona praca, trzy miesiące wszyscy czterej pracowali gorączkowo nad wykończeniem klatki olbrzymiego aparatu, aż wreszcie stanął on gotowy. Pozostawało go oszklić tylko i wypróbować.

Potrzebne szyby zamówił zawczasu Stańczak podług potrzebnych wymiarów w jednej z najlepszych hut szklanych w Polsce; dostarczono je na czas i wnet przystąpiono do pracy nad ich wprawieniem.

W połowie stycznia, na podwórku laboratorium, w specjalnej szopie, stanął wreszcie ogromnej wielkości, oszklony cały, potwór-maszyna, błyszczący w promieniach styczniowego słońca.

Postanowiono poddać go próbie w nocy, ażeby nie zwracać niczyjej uwagi.

Nad wieczorem przed bramę laboratorium zajechał samochód Bonieckiego, z którego wysiadł on sam, a za nim wyskoczyło młode, szesnastoletnie dziewczę, otulone w futro.

Była to jedyna i ukochana córka jego, Marynia. Wtajemniczona we wszystkie plany ojca, napałała się, że chce uczestniczyć w próbie puszczenia w ruch aeroplanu. Ojciec stawiał zrazu opór temu dziwacznemu, jak go nazywał, żądaniu jedynaczki, lecz tak potrafiła go przekonać, że wreszcie przystał na nie, zwłaszcza, że zarówno Stańczak, jak Jerlicz i Peński zapewniali go, że absolutnie żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

Na podwórzu stał wyprowadzony z szopy, błyszczący w ostatnich blaskach zachodu, aeroplan, około którego uwijali się, robiąc ostateczne poprawki, kontrolując wszystko — Jerlicz z Peńskim.

Stańczak przeprowadził gości, mówiąc:

— Z rozpoczęciem próby zaczekać musimy aż do zapadnięcia nocy, gdy chcemy uniknąć tego, aby nas ktokolwiek spostrzegł. Przez ten czas objaśnili panie Maryni konstrukcję aparatu.

Zapadła wreszcie ciemna, bezksiężycowa noc styczniowa, tylko na ciemnym tle nieba ukazały się niezliczone mirjady gwiazd.

— Już czas — rzekł Peński.

Przy świetle lamp elektrycznych, płonących na podwórcu, weszli do wnętrza szklanej komnaty. Peński ostatni zamknął drzwiczki i ujął za rękojeść maszyny elektrycznej, ażeby puścić w ruch ster.

Lekkie drgnięcie dało im poznać, że maszyna oderwała się od ziemi, lecz wznoszenie się jej do góry było zupełnie spokojne, bez żadnych wstrząśnień i szarpań.

— Wznosimy się — rzekł Stańczak, patrząc na przyrząd do mierzenia wysokości — 100, 200, 300 metrów — powtarzał półgłosem — 500, 600, 700... No, teraz można puścić światło!

Przekręcił guzik, i na przodzie aparatu zajaśniała olbrzymich rozmiarów latarnia elektryczna, rozjaśniając wszystko wokoło.

Lecz promienie jej jednocześnie zgasiły blask, bijący łuną z latarni Warszawy. Ulice jej zdały się wprzód z tej zawrotnej wysokości jakby nanizanymi sznurami błyszczących pereł.

Gdy światło elektryczne zapłonęło — czarowny ten widok zniknął, stuszował się.

— Szkoda — wyrwało się szeptem z ust Maryni, patrzącej z zachwytem na roztaczający się widok.

— Czego szkoda? — podchwycił tuż obok stojący Stańczak.

— Tego widoku, który zgasił blask latarni... Nie zdążyła skończyć, gdy Stańczak prze-

kręcił guzik i latarnia zgasła. A tymczasem w drugiej stronie aparatu Boniecki wiódł z Peńskim i Jerliczem następującą rozmowę:

— Wznosimy się obecnie z szybkością 1 kilometra na minutę.

— Tak jest — odrzekł Jerlicz.

— W ten sposób w niedługim przeciągu czasu zdołalibyśmy dolecieć do księżycy.

— Tak jest — odparł Peński — tylko należałoby przedtem wziąć pod uwagę siłę przyciągania, oraz ciśnienie powietrza... Te dwa prawa fizyczne stanowiłyby poważną przeszkodę.

Wtedy dopiero wtrącił się do rozmowy Jerlicz, w zamyśleniu śledzący wznoszenie się aparatu.

— Kto wie, czyby się nie dało i tego przewyciężyć?

Aparat, wznosząc się coraz wyżej i wyżej dosięgnął wysokości 2500 metrów, przyczem obecni uczuwać poczęli brak powietrza.

Peński przesunął rączkę maszyny i aparat powoli zaczął opadać, a Stańczak widząc na twarzy Maryni wyryte cierpienie, zawołał do Jerlicza:

— Otworzyć rezerwoar z tlenem!

W jednej chwili zerwał tenże zamknięcie z rezerwoaru i ożywczy tlen napelnił wnętrze szklanego pokoiku.

Peński zatrzymał aparat na wysokości 600 metrów, poczem rzekł:

— A teraz wypróbujemy go na szybkość. Zapłonęła znów latarnia olbrzymiej wielkości i aeroplan pomknął na zachód.

Stańczyk stał ze wzrokiem utkwionym w aparat do mierzenia szybkości oraz w chronometr.

Wreszcie zawołał z tryumfem:

— Dwa kilometry na minutę!

A Jerlicz wnet podchwycił:

— To znaczy 120 kilometrów na godzinę.

A zatem, gdybyśmy mknęli wciąż z jednakową szybkością, tobyśmy objechali całą ziemię w przeciągu dwóch tygodni.

— No — przerwał mu Peński — niech pan dołoży jakieś dwa dni na to, że wszakżeż podróży owej nie będzie pan odbywać przy samej powierzchni ziemi, lecz na wysokości co najmniej $\frac{1}{2}$ kilometra, a to doda pewną ich ilość w ogólnej sumie, a przytem pamiętać należy i o górach, nad którymi będzie potrzeba przepływać.

— Chociażby nawet — rzekł Boniecki — zawsze jednak znakomicie pobija się rekord podróży 80 dniowej naokoło świata, opisanej przez Vernego.

Peński przez ten czas obliczał coś śpiesznie na papierze, poczem zawołał:

— Eureka!.. A więc dążąc z tą szybkością po wyruszeniu ze Szpicbergu, staniemy na biegunie w przeciągu dziesięciu godzin.

— Nawet trochę prędzej — rzekł Jerlicz — gdyż należy o tem pamiętać, że kula ziemską na biegunach jest spłaszczoną, i że równa się to prawie dwudziestu dwu kilometrom. O tyle też prędzej możemy stanąć u celu.

— Ależ to poprostu spacer — zawołała z zachwytem Marynia, która dotychczas z zajęciem słuchała toczącej się rozmowy — toż nic więcej, jak przejażdżka z Warszawy do Krakowa.

— Tak — wtrącił pan Boniecki — przejażdżka i spacer, z których można nie wrócić.

Aeroplan przez ten czas mknął wciąż na przód.

Stańczyk spojrzął na przyrząd do mierzenia szybkości i zawołał:

— 300 kilometrów!

— A więc znajdujemy się obecnie nad pasmem Tatr — rzekł Jerlicz.

Stańczyk zgasił lampę, i wyjrzeni w dół. Lecz mroki nocne były nieprzeniknione.

— Godzina 1 po północy — rzekł pan Boniecki, spoglądając na zegarek — czas wracać, jeżeli chcemy przed świtem stanąć w Warszawie.

Peński przekręcił korbkę maszyny i aeroplan, bez najmniejszych wstrząśnień, zawrócił i płynąć począł w stronę północną.

Teraz u steru stanął Stańczyk i kierując się busołą, mknął w stronę Warszawy.

Od czasu do czasu migały im przed oczami, w dole, jakieś światełka, rozsiane jak gwiazdki po równinie. Większe zbiorowiska tych gwiazdek oznaczały miasta, które w pośpiesznym swym locie mijali.

Ukazała się wreszcie pod nimi luna światła, zajaśniały mnogie latarnie na ulicach: przemknęli nad nimi i powoli opuszczając się zaczęli na podwórze laboratorium, gdzie oczekiwał na nich Andrzej.

Wysiedli wszyscy, a Jerlicz, zwracając się do Maryni, rzekł:

— Byłaś pani świadkiem wynalazku, który dokona przewrotu w całym świecie. Uczestniczyłaś w pierwszych próbach tego dziecicy naszego, racz zatem nadać mu imię, nazwij go...

Zmieszła się Marynia tą niespodziewaną propozycją. Spojrzała na ojca, jakby chcąc zasięgnąć u niego porady, a gdy skinął jej głową zachęcająco, wystąpiła naprzód, oparła się ręką o jedną ze ścianek aeroplanu, i silnym, dźwięcznym głosem mówić zaczęła:

— Czynię zadość żądaniu. Niech to dzieło geniuszu pana, niech ten wspaniały ptak, tak dumnie wznoszący się w przestworza, skąd króluje ziemi całej, nosi nazwę tego, od kogo skrzydeł zapożyczył... Niech zwie się «Orlem», i niech tak, jak ten ptak potężny, unika wszystkiego, co niskie, co marne! Niech

szybując w przestrzeni, śmiało dąży do światła, do słońca, do wiedzy i dobra! Niech stanie się opiekunem wszystkich biednych, uciśnionych, niech nie wie, co to jest krzywda, co to jest zło... Niech skrzydłami swymi osłania wszystkich, co do pomocy jego uciekać się będą. Niech stanie się godnym swej nazwy!

Gromkie okrzyki:

— Vivat! vivat! — rozbrzmiały po tej przemowie.

Gdy pan Boniecki wraz z córką udali się do domu, trzej przyjaciele pozostali około swego dzieła.

Cała wyprawa odbyła się niepostrzeżenie dla wszystkich. Tylko nazajutrz niektóre pisma zamieściły szereg depesz z różnych miejscowości Polski o ukazaniu się świetnego meteoru, który mknął z północy na zachód, a jak inni utrzymywali z zachodu na północ. Widziano go i w Warszawie, i w Radomiu, i w Kielcach... Widziano w Krakowie, oraz na przełęczach gór tatrzańskich... Tam błyszczał najświetniej, a potem znikł, mknąc w stronę północy.

Znaleźli się też i tacy z pośród mieszkańców Mokotowa, którzy przysięgając na wszystko, twierdzili, że widzieli jak nad ranem jakiś olbrzymi, błyszczący przedmiot opadł na podwórze laboratorium Jerlicza.

Spotęgowało to jeszcze zabobonną trwozę,

jaką ludność okoliczna otaczała terytorjum «fabryki szatana», jak je nazywano ogólnie. Omiłano je zdaleka starannie, żegnając się za każdym razem nabożnie. A w nocy nikt, za żadną cenę, nie przeszedłby w jego pobliżu.

IV.

D o b i e g u n a .

Budowa okrętu, zamówiona przez Stańczaka na rachunek pana Bonieckiego w warsztatach okrętowych braci Małęgów w Gdańsku, była już na ukończeniu.

Wykończano już ostatnie szczegóły i to pod osobistym kierunkiem Stańczaka, który od paru tygodni bawił w Gdańsku, dozorując wszystko.

Wszystko zapowiadało, że cała budowa ukończoną będzie przed 15 marca, tak że wkrótce potem będzie statek już w drodze do Szpicbergu. Jednocześnie kolejną nadchodziły paki, mające stanowić ładunek okrętu.

Znoszący je robotnicy dziwili się nieraz, że wśród nich znajdowały się niektóre, pomimo pozornej swej wielkości, nadzwyczaj lekkie.

Oprócz pilnowania wykończenia budowy okrętu, oraz ładunku, Stańczak zajęty był an-

gazowaniem załogi. A wybierał ją pilnie. Zgłaszało się wielu, gdyż warunki wynagrodzenia były bardzo dobre, lecz z pomiędzy kandydatów zaledwie jeden na dziesięciu zaliczonym do niej został.

Stańczak stawiał im przedewszystkiem trzy warunki: ażeby byli polakami, koniecznie trzeźwymi i żeby mieli pewną inteligencję. Nieależnie od tego wymaganem było, ażeby każdy z nich obeznany był z jakimś rzemiosłem, a zwłaszcza z mechaniką.

Na oficerów zaangażował starych swych znajomych i przyjaciół z marynarki francuskiej.

Z chwilą skończenia robót przy budowie ukończone zostało kompletowanie załogi. Oprócz Peńskiego, Jerlicza, prof. Narbutta i Stańczaka, składać ją mieli: Witold Browicz, porucznik marynarki francuskiej, który objął naczelną komendę nad okrętem; Stefan Runiewicz, dowódca okrętu handlowego z Gdańska, został pierwszym porucznikiem; dr. Jerzy Starski, doktor medycyny, czuwać miał nad zdrowiem załogi; Antoniego Grzelaka mianowano głównym mechanikiem a pomocnikiem jego został Tomasz Pawelski, dobry kowal i robotnik; Józef Majewski, Lucjan Korchut i Stanisław Remisz, studenci politechniki lwowskiej, zgłosili się na ochotnika i przyjęci zostali jako kadeci; Piotr Krempa, Mazur, cieśla; Szymon Bauer, Kaszub,

stolarz, oraz sternik, który znał zarówno Bałtyk, jak i morza Północy; Wojciech Jost, Kaszub, który niejedną odbył wyprawę po morzach północnych; Jan Kabatek, Kaszub — stary łowca wielorybów, oraz najważniejsza figura, imię pan Kleofas Żarnicki, kucharz, który, jak sam twierdził, w gotowaniu przewyższał wszystkich kolegów swoich, żyjących i umarłych. On to miał mieć nadzór nad szpizarnią okrętową, oraz pieczę o żołądki wszystkich uczestników wyprawy, ażeby dr. Starski nie miał wiele do roboty.

Wbito wreszcie ostatni gwóźdź, składy pod pokładem naładowano, maszyna, o sile 250 koni parowych wypróbowana była należycie, załoga cała była na stanowiskach, czekano tylko ze spuszczeniem okrętu na przybycie pana Bonieckiego, z którym razem przybyć mieli: prof. Narbutt, Jerlicz i Peński.

Bagaż ich już nadeszły i rozmieszczone były po kajutach. Właściwie bagaż prof. Narbutta i Jerlicza, gdyż Peński swą torbę podróżną zapewne sam przywiezie ze sobą.

Olbrzymie skrzynie, przysłane przez nich, a zaopatrzone ze wszystkich stron w napisy: Ostrożnie! Szkło! zniesiono pod pokład jak można najostrożniej, ażeby tylko nie uszkodzić mieszczących się w nich cennych i kosztownych narzędzi.

Wreszcie przybył i pan Boniecki a z nim

i Marynia. Stańczak spotkał ich na dworcu i samochodem przewiózł do hotelu, gdzie już były zawczasu zamówione pokoje. Tam też ulokowali się i przybyli z nimi towarzysze wyprawy.

Zdumiało go to tylko, że jak na tak krótką wycieczkę pan Boniecki z córką mieli za dużą ilość kufrów. Wytłumaczył mu to on jednak wnet, mówiąc:

— Napała się moja jedynaczka, ażebyśmy towarzyszyli wam aż do Szpicbergen i tam byli świadkami odlotu waszego do bieguna.

Z wdzięcznością spojrział Stańczak na Marynię i w dalszym ciągu odpowiadał panu Bonieckiemu na zapytania jego.

— Jutro rano — mówił — dokonamy poświęcenia okrętu i spuścimy go na wodę. Zaraz też urządzimy małą przejażdżkę próbną, a na drugi dzień, o świcie, wyruszymy w drogę.

— Bardzo dobrze — rzekł Boniecki — kufry nasze mogą powędrować prosto na statek. Zabierzemy z sobą tylko walizę. Ale, moja panno — dodał, zwracając się do córki — jak ty sobie dasz radę, boć twej pokojówki nie zabraliśmy z sobą.

— Poradzę sobie — odrzekła śmiejąc się, Marynia — nawet będą z tego zadowolona, gdyż ta ciągła pomoc i opieka pokojowej, jakbym była niedołącznym dzieckiem, sprzykrzyła mi się.

— I na to się zaradzi — odrzekł Stańczak, a ulokowawszy pana Bonieckiego z córką w hotelu, lokajowi wydał polecenie przewiezienia kufrów na okręt, gdzie sam również podążył, ażeby wydać polecenie odpowiedniego przygotowania dla nich kajut. Potem przywołał do siebie Wojciecha Josta, od dziada pradziada osiadłego w Gdańsku i tam mającego rodzinę, i rzekł do niego:

— Słuchajcie Wojciechu, wy tu znacie wiele osób. Idźcie no, postarajcie się o jaką zręczną i sprytną dziewczynę, któraby chciała być pokojówką u młodej panienki, u nas, na okręcie.

— A toć — odezwał się Jost, wyjmując z ust krótką fajeczkę — moja Baśka byłaby w sam raz. Sługiwała już ona u różnych państwa po śmierci matki, kiedym ja na dalekich morzach przebywał. Po powrocie odebrałem ją, bo po co dziewczyna ma się poniewierać u różnych Niemców? A tak to będziemy z sobą razem.

— A więc idźcie — rzekł do niego Stańczak — i pomówcie z dziewczyną. Zabierzcie ją z sobą na okręt, ażeby już od rana była na stanowisku. Kajutę, przeznaczoną dla panienki znacie dobrze.

Jost skinął głową na znak, że rozumie, o co mu idzie i pykając dymkiem ze swej fajeczki, powędrował do miasta. Stańczak zaś pozostał

na okręcie, wydając rozkazy, co do jutrzejszej podróży.

Nazajutrz pogoda była prześliczna. Leciutki wietrzyk zaledwie marszczył gładką powierzchnię morza, a promienie marcowego słońca igrały na niej, kładąc złociste blaski.

Warsztaty braci Małęgów przybrały się w świąteczne szaty. Właściciele i robotnicy przybrani odświętnie, otaczali okręt, spoczywający na zaokrąglonych balach, i oczekujący jakby rozkazu, by stoczyć się po nich w pluszczące się przed nim fale morza.

Załoga cała zebrana była na pokładzie, a na przodzie statku, szara, płócienna zasłona z zdrośnie kryła przed oczami zebranych nazwę okrętu, której nikt nie znał, gdyż Stańczak sam, osobiście, w tajemnicy przed wszystkimi umieścił ją tam, zakrywając zaraz płótnem.

Oczekiwano tylko na przybycie pana Bonieckiego z córką. Przed bramę zakładu zjechał wreszcie samochód i ukazali się oczekiwani w towarzystwie Stańczaka.

Peński, który wraz z Jerliczem od świtu już był na okręcie, oglądając każdy szczegół jego, wybiegł na ich spotkanie.

Uściskiem dłoni przywitał pan Boniecki braci Małęgów, dziękując im za wzorową budowę statku, poczem posunęli się wszyscy ku przodowi okrętu, gdzie przeciągnięta biało-purpu-

rowa wstęga zdawała się powstrzymywać go, ażeby nie sfrunął do nęcących go fal morza.

Tam jeden z braci Małęgów podał panu Bonieckiemu na srebrnej tacy nożyce; ten wzięwszy je do ręki, powiódł błyszczącym wzrokiem wokoło i obnażywszy głowę, mówić począł silnym głosem:

— Panowie! Dokonać mam dzieła ważnego, mam pierwszy otworzyć drogę do morza dziecięciu rąk polskich, okrętowi, który mknął ku dalekiej północy, nowemi zdobyczami zbogacić ma krainę wiedzy, który przyczynić się ma do rozślawienia potężnej myśli polskiej po świecie całym. Okręt ten, panowie, wyłącznie tylko z polskich zbudowany materiałów, rękami polskich robotników, na pokładzie swym nosić będzie dzieci polskiej ziemi. Stanowić on będzie dla nas częśćkę naszej drogiej ojczyzny, przypominać nam ją każdym, najdrobniejszym nawet szczegółem swoim. A więc słusznem zupełnie będzie, gdy nosić on będzie nazwę «Polonji».

Zaledwie wymówił te słowa, gdy rozbrzmiała tryumfalna fanfara, szare płótna opadły z przodu okrętu i oczom wszystkich ukazał się złocisty, olbrzymi napis:

P O L O N J A,

a jednocześnie na najwyższym maszcie wzniosły się dwie chorągwie. Jedna na białem tle

mieszcząca zgiętą w łokciu rękę z mieczem— dawny sztandar okrętowy Polski, a pod nią druga, z herbem pana Bonieckiego.

Entuzjastyczne okrzyki na ten widok wydarły się z piersi zebranych.

— Niech żyje!.. niech żyje!.. vivat!.. i długo, długo rozbrzmiewały w dal, a w oczach wszystkich błysnęły łzy rozrzewnienia.

Przystawiono potem schodki do okrętu i po nich zebrani wkroczyli na pokład.

Na dany znak robotnicy usunęli koły, powstrzymujące okręt, i ten, tocząc się po balach, majestatycznie zsunął się na fale Bałtyku, które go lekko, jakby z pieszczotą obmywać zaczęły.

Kapitan Browicz stanął na mostku kapitańskim, wydając przez tubę rozkazy do maszyn, sternik Szymon Bauer, ujął za ster, reszta załogi stanęła na swoich stanowiskach, rozległ się przeraźliwy głos syreny i «Polonja» lekko i zgrabnie pomknęła po kołyszących się falach morza.

Stańczak tymczasem oprowadzał gości po okręcie, pokazując wszystkie zakątki, wszystkie urządzenia jego. Dumny był z tego dzieła swego i słuszenie się niem szczycił.

Rozpoczęli od pokładu, który szeroki był na 12 metrów, długi zaś na 42 metry, przyczem jedna połowa jego, oprócz niezbędnych wejść pod pokład, wolną była od jakichkolwiek wznie-

sień i ogrodzeń, stanowiąc jedną płaszczyznę, powiększaną jeszcze przez specjalne pomosty, które mogły być przymocowywane z boku.

— Zrobione to jest umyślnie, ażeby można było wprost z pokładu wznosić się do góry aeroplanem, oraz lądować na nim... — objaśniał Stańczak.

— A gdzie jest ster i śruba? — dopytywał Boniecki.

— Okryte są specjalnem oszalowaniem z grubych desek, ażeby ich bryły lodowe nie uszkodziły.

Po obejrzeniu pokładu zeszli na dół, gdzie mieściły się kajuty. Największa, umieszczona pośrodku, zastawiona wokoło szafami z książkami i narzędziami, z dużym okrągłym stołem na środku służyć miała za salon. Za nim ciągnęła się podłużna, oświetlona oknem z góry, jadalnia wspólna, z jednej strony której mieściły się kajuty Stańczaka, oraz profesora Narbutta, w której ten już się rozgospodarował, rozkładając swe narzędzia do badań, z drugiej zaś mieściły się kajuty pana Bonieckiego i Maryni.

W kajucie pierwszego służący układał różne drobiazgi, a gdy otworzono kajutę Maryni, wzrok wszystkich uderzył czarowny widok.

Cała zapełniona kwiatami, wyglądała jak jakiś ogród czarodziejski, pełen woni i barw. Wszędzie, gdzie tylko wzrok spoczął, widać było

kwiaty i zieleń. Na progu stała mile uśmiechnięta, rosła kaszubka w stroju narodowym.

Ze zdumieniem spojrzała Marynia na dziewczynę, dopiero postępujący za nią Stańczak rzekł tonem objaśnienia:

— Oto jest pokojowa pani, o którą się tak troszczył ojciec.

Z wdzięcznością spojrzała na niego i zwracając się do dziewczyny, spytała:

— Jak ci na imię?

— Basia, proszę wielmożnej panienki — odrzekła zapytana, czysto po polsku.

— Skądżeś ty? — pytała dalej.

— A wej, z nad morza... z Kaszubów...

— Gdzieś się tak czysto po polsku nauczyłaś mówić?

— Bo służywałam u polskich państwa... a przysięgam, wielmożna panienko, my wszyscy uczymy się po polsku, byle się tylko nie dać tym zatraconym Prusakom.

Kajuta Jerlicza, mieszcząca niektóre wynalazki jego, zazdrośnie na kłódkę zamkniętą była, ażeby się do niej ktoś niepowołany nie zakradł; za nią szła kajuta Peńskiego, z rozrzuceniami już w nieładzie rzeczami jego, a potem kajuty: kapitana Browicza, porucznika Runiewiczza, d-ra Starskiego, z szafką mieszcząca aptekę; mechanik Grzelak z pomocnikiem zajmowali podobnie, jak i trzej kadeci, jedną wspólną kajutę.

Na samym końcu okrętu mieścili się kajuty: cieśli i sternika, oraz trzech marynarzy.

W samym środku, tuż koło maszyny, mieściła się obficie zaopatrzona spiżarnia, a tuż przy niej królestwo pana Kleofasa Żarnickiego, który właśnie uwijał się przy ognisku kuchennym, szykując jakieś smakołyki, którymi uczęstować miał gości, a które podtrzymać miały sławę jego.

Po zwiedzeniu pomieszczeń podpokładowych, zeszli niżej, do składów, oraz do paleńsk kotłowych. Uwijał się tam palacz, przyjęty w ostatniej prawie chwili, mężczyzna wysokiego wzrostu, barczysty, o obfitym rudym zaroście. Obnażony do pasa, stał na straży koło ogniska, dorzucając nań szuflami węgiel, a buchające stamtąd płomienie kładły na białem ciełe jego krwawe odbłyśki.

Stańczak zmarszczył brwi, widząc tego nieznanego, kręcącego się na statku.

— Kto to jest? — zapytał, zwracając się do porucznika Runiewicza.

— Palacz, przyjęty wczoraj przez mechanika Grzelaka — odrzekł tenże.

— Czy to polak?

— Polak, przynajmniej ma takie dokumenty. Stańczak podszedł do palacza i spytał go.

— Jak się nazywasz?..

— Jan Więciorek — odrzekł zapytany.

Bacne ucho Stańczaka podchwyciło w słowach jego pewien akcent niemiecki.

— Skąd rodem? — pytał dalej.

— Ze Śląska, z pod Bytomia — odrzekł tenże krótko, odwracając się, ażeby wrzucić szuflę węgla na ognisko.

Stańczak poczuł jakiś instynktowny brak zaufania do tego przybysza, nie zdradzając się z tem jednak, postanowił sobie śledzić bacznie każdy ruch jego.

Skończono zwiedzanie na składach, gdzie stały w zwartych szeregach skrzynie z zapakowanymi w nie częściami składowymi aeroplanów.

Stamtąd wyszli na pokład, gdzie między urządzeniami do telegrafowania bez drutu a kioskiem z narzędziami do obserwacji astronomicznych i meteorologicznych, pan Kleofas, przy pomocy służącego pana Bonieckiego, rozstawił stoły i przygotował śniadanie.

Pogoda była prześliczna i morze wyjątkowo spokojne. Promienie marcowego słońca przypiekały, łagodzone przez lekki powiew wietrzyka.

Zasiedli do stołów i przy wesołej pogawędce spożywać z apetytem poczęli potrawy, z którymi wystąpił rzeczywiście koncertowo pan Kleofas.

Pojawiło się i wino, poczęto wznosić toast za toastem. Dziękował pan Boniecki w dłu-

giej przemowie braciom Małęgom za wzorowo wykonany okręt, przemawiał i Stańczak, i Peński, i nawet prof. Narbutt, który ku ogólnemu zdumieniu wszystkich w krótkiej lecz serdecznej przemowie podniósł zasługi około całej wyprawy podjęte przez pana Bonieckiego.

Na cześć «Polonji» i całej jej załogi wzniosła toast Marynia, na co znów porwał się z miejsca Jerlicz, i gestykulując żywo, wypił zdrowie odważnych kobiet polskich.

W różowych humorach powstałi wszyscy od stolów i potworzywszy grupy, żywo gawędzić zaczęli.

Przejażdżka była rzeczywiście prześliczną, «Polonja» sprawiała się znakomicie, co stwierdzali co chwila nieomal, w pełnych uznania słowach i kapitan Browicz i Runiewicz, i sternik Bauer.

Okolo 1 godziny popoł. wreszcie Stańczak polecił zawrócić i wracać do portu.

Powrót odbył się również pomyślnie, jak i wyjazd. Punkt o 4-ej godzinie zawinęli do portu.

Pan Boniecki wraz z Stańczakiem i Jerliczem wysiedli na brzeg, ażeby załatwić jeszcze niektóre formalności, przyczem polecić mieli przesłanie rzeczy z hotelu na okręt.

Zaledwie postąpili kroków parę, gdy ukażał się na ulicy tłum kolporterów gdańskiej ga-

zety niemieckiej, biegnących prędko i krzyżących na całe gardło:

— «Extrablatt!» «Extrablatt!».

Przechodnie otaczali ich, nabywali je i chciwie odczytywali.

Nabył i pan Boniecki jeden z tych dodatków nadzwyczajnych i wraz z towarzyszami odczytywać zaczął.

Zawierał on jedną tylko depezę z Kilonji, a treść jej była następująca:

Kilonja, dn. 26 marca 19.. r.

«Dziś, w południe, pożegnany przez cesarza i członków królewskiego towarzystwa naukowego, odpłynął w drogę do bieguna północnego specjalny okręt «Germanja», wioząc na pokładzie swoim cały sztab uczonych badaczy. Uda się on do Szpicbergen, skąd dalsza wyprawa odbędzie się na balonie sterowym systemu Zeppelina.

Na czele wyprawy stoi znany uczonec, członek królewskiej Akademji w Berlinie, dr. wszech nauk, pan Johan Meier. Entuzjastyczne życzenia towarzyszyły wyprawie tych pionierów germańskiej potęgi i wiedzy, za których sprawą biegun północny napewno do naszej wielkiej niemieckiej ojczyzny zaliczonym zostanie. Potężna Germanja zwalczy napewno wszystkich przeciwników swoich, którzy o toż samo kusić się będą... Niech żyją Prusy!»

— Macie, panowie, rękawicę, rzuconą nam— rzekł Boniecki, podając depeszę Stańczakowi i Jerliczowi.

— Tak — rzekł pierwszy — i przyjmujemy ją... «Polonja» dziś jeszcze na noc wyruszy w drogę i, da Bóg, dowiedziemy tej potężnej Germanji, że myśl polska, że wiedza jej i nauka górują nad jej ciężką, wierzącą tylko w siłę pięści potęgą i mocą...

V.

B u r z a.

Na lekko sfalowanej powierzchni oceanu atlantyckiego unosi się «Polonja», prując fale morskie, pozostawiając za sobą pienisty ślad. Śmiało dąży naprzód, mknąc do wytkniętego celu, nie zatrzymując się nigdzie.

Minięto w ten sposób morze Niemieckie, ominięto wybrzeża Norwegji, przepłynięto około Bergen i Lofodów, w szybkim biegu zbliżając się do wysp Szpicbergeńskich, gdzie miało założyc stację, celem zmontowania aeroplanów.

Żegluga wogóle odbywała się bardzo pomyślnie, bez żadnego wypadku, zwłaszcza, że pogoda sprzyjała jak nigdy.

Wesoło też czas spędzano na pokładzie, przyczem każdy zajęty był pracą. Prof. Narbutt codziennie rano zarzucał sieci z ciężarkami, jak tylko można najgłębiej w morze i robił badania nad wyciągniętymi stamtąd mięczakami i rybami, przyczem wytrwałą i pilną słuchaczkę miał w Maryni, która dnie całe prawie spędzała w jego kajucie, przy stole, założonym książkami i preparatami.

Z zajęciem słuchała wykładu i objaśnień starego uczonego, zasypując go gradem pytań.

Jerlicz znów, zamknięty w swej kajucie, pracował nad jakimiś tajemniczymi wynalazkami, i prowadził doświadczenia nad siłą energii elektrycznej fal morskich.

Stańczak wraz z Peńskim robili ciągle obserwacje i pomiary, przyczem bacznie pilnowali porządku i ładu na całym okręcie

Nikt nie próżnował, wszyscy zajęci byli pracą, nie tracąc ani chwili na głupstwa. Tak upłynęło dni sześć. W szybkim biegu swym coraz bardziej zbliżała się «Polonja» ku Szpicbergenom, gdy naraz wieczorem dnia szóstego stary Jost utkwił wzrok w stronie zachodniej, gdzie słońce kryło się właśnie za chmury, i zatrzymawszy przechodzącego obok Browicza, rzekł:

— Panie kapitanie, dziś w nocy trzeba się mieć na baczności. Będzie burza i to porządna!

— Żartujesz, stary — zawołał Browicz — barometr nie wskazuje burzy. Skądże by mogła wybuchnąć tak raptownie?

— Ostrzegam pana, panie kapitanie — rzekł z naciskiem stary wilk morski — lepiej się będzie odsunąć od tych wybrzeży, a skierować na pełne morze. Tu jest masa skalistych wysepek i głazów, o które nasza «Polonja» łatwo rozbić się może.

Pobiegł kapitan Browicz do barometru, by jeszcze raz sprawdzić stan jego i choć ten wskazywał stale pogodę, postanowił sobie nie lekceważyć przepowiedni starego marynarza, i udawszy się do sternika Bauera, polecił mu skierować okręt na pełny ocean, jak najdalej od brzegów Norwegii.

Wydawszy te zarządzenia, uprzedził o możliwej burzy całą załogę, polecając jej mieć się na baczności.

W przeciągu paru minut wszyscy byli w pogotowiu do stoczenia zapowiadającej się walki z żywiołami.

Stańczak osobiście objął komendę nad wszystkim, czuwając nad najdrobniejszymi szczegółami.

Wszystko, co tylko mogło uleść porwaniu lub zmyciu przez wiatr z pokładu, przymocowane do niego zostało. Żagle zbyt ciężkie zwinęto, ażeby jak najmniejszą płaszczyznę pozostawić wściekłym atakom wichury.

Marynia, która wyszła z kajuty wraz z ojcem w trakcie tych przygotowań, zdziwionemi oczami patrzała na nie, wreszcie spytała przechodzącego obok Stańczaka:

— Panie Janie, na co te przygotowania?.. Czy nam co grozi?

— Tak jest — odrzekł zapytany — grozi nam burza.

— Jakto, kiedy niebo zupełnie czyste, i wiatru prawie że niema?

— A jednak burza będzie niezawodnie.

W tej chwili, jakby potwierdzając słowa jego, wiejący dotychczas łagodny wietrzyk ze wschodu, odwrócił się i z północo-zachodu powiał całą mocą, przejmując chłodem i wydymając żagle.

Jednocześnie w stronie północo-zachodniej ukazała się mała biała chmurka, o wystrzępionych brzegach.

— Oto stamtąd idzie burza — rzekł Stańczak, wskazując ją Maryni, poczem pobiegł do barometru, ażeby sprawdzić stan jego.

Jost nie mylił się w przepowiedni swojej, barometr opadał coraz gwałtowniej...

Przejmująco zimny wiatr dąć począł bez przerwy, wzdymając wysoko fale wód, wznosząc je wokół okrętu, miotając nim jak piłką.

Rozległ się przeraźliwy ryk syreny i wszyscy zajęli swe stanowiska, szykując się do walki z rozszalałym morzem.

Bacznej uwadze Stańczaka nie uszło to, że palacz Więciorek, który dotychczas nigdy prawie nie opuszczał czeluści kotłowni okrętu, wysunął się na chwilę ze swej ziejącej ogniem dziury, stanął na pokładzie i przyłożywszy rękę do czoła, patrzył bacznie w stronę zachodu.

Zdawało mu się, że po twarzy palacza przemknął uśmiech jakby tryumfu, radości.

Nie miał jednak czasu długo zajmować się temi spostrzeżeniami. Obowiązki powołały go gdzieindziej. Musiał się przekonać, czy zarządzenia jego co do zabezpieczenia narzędzi meteorologicznych oraz otworów, wiodących do kajut, zostały wykonane.

W przejściu spostrzegł przyczepioną do balustrady smukłą postać dziewczęcą, otuloną w płaszcz gumowy. Poznał ją. Była to Marynia. Stała sama z rękami przywartemi do balustrady, ze wzrokiem utkwionym w szalejące fale morza, podczas gdy ojciec, wraz z innymi szykował się do walki.

— Pani tu?!—zawołał zdumiony Stańczak.— Tu grozi niebezpieczeństwo. Proszę, niech pani zejdzie do kajuty; nie mogę pozwolić na to, by pani się tak lekkomyślnie narażała.

Spojrzała na niego śmiało błękitnymi oczami, w których nie było najmniejszego lęku i odrzekła silnym głosem:

— Czegóż mam się lękać, kiedy wszyscy są wokół mnie? Przeciwnie, porywa mnie ta

walka z żywiołem. To morze wzburzone, które, zda się, w jednej chwili pochłonie tak wąż skorupę, jaką jest nasz okręt... To jest wspaniale... Wprost precudne!

I z zachwytem chłonęła oczami przepiękny, lecz pełen zarazem grozy widok rozszalonego morza. I było w twarzy jej coś z tych dawnych rycerzy kresowych, jej przodków, którzy twarzą w twarz spotykali się z hordami nieprzyjaciół, grożących zagładą i zalewem Rzeczpospolitej.

Stańczak nic nie odrzekł, skłonił się lekko i podążył dalej, tam, gdzie go wzywał obowiązek.

Zmrok zapadł, co jeszcze więcej spotęgowało grozę szalejącej burzy. Na «Polonji» zapłonęły lampy elektryczne, lecz rozświetlały one tylko słaby krąg wokół, podczas gdy reszta tonęła w nieprzeniknionej ciemności. Zygzaki błyskawic i piorunów rozcinały od czasu do czasu ciemną oponę chmur, a huk piorunów mieszał się głuchym porykiem fal.

Na pokładzie wszyscy zebrani toczyli żartą walkę z zalewającymi pokład falami. Coraz rozlegał się donośny głos Browicza lub Stańczaka, wydających przez tubę rozkazy.

Pan Boniecki stanął do pracy obok innych, i narówni z marynarzami walczył o ocalenie okrętu, o uratowanie życia wszystkich na nim się znajdujących.

W blasku lamp i błyskawic odcinała się wysmukła postać Maryni, która, pomimo namów i nalegań ojca, nie chciała zejść do kajuty, lecz przytulona do wielkiego masztu, wraz z wierną Basią, patrzyła z podziwem i zachwytem na tę walkę garści ludzi z potężnym żywiołem.

Maszyna pracowała sprawnie. Śruba jej szybkimi obrotami przecinała fale i pchała «Polonję» naprzód i naprzód, jakby odprowadzić ją chciała daleko od szalejącej burzy.

Lecz ta nie ustawała ani na chwilę, przeciwnie, z każdą sekundą zdawała się rość, potęgować.

Naraz w to szalone wycie wichury, poryk burzy, trzask piorunów wdarł się jakiś huk potężny, z kominów maszyny strzelił snop iskier i w jednej chwili okręt cały zatrzęsł się w posadach, śruba zakręciła się jeszcze kilka razy, wreszcie stanęła bezsilnie; lampy elektryczne pogasły.

Zapanowało zamieszanie, gwałt na pokładzie bezsilnego teraz, miotanego przez fale okrętu.

Zanim ktośkolwiek spytać się zdołał, co się stało, wypadł z oddziału maszyn Grzelak i wołając:

— Gdzie kapitan?.. Gdzie komendant?.. — biegł przed siebie.

Gdy mu wskazano stojących razem Browi-

cza i Stańczaka, podążył do nich, i z ręką przy czapce wygłosił:

— Panie komendancie, kocioł pękł i maszyna stoi nieczynna.

— Puścić w ruch zapasową — wydał rozkaz Stańczak.

— Potrwa to zawsze trzy godziny — odrzekł Grzelak — zwłaszcza, że jak mówi palacz, paleniska zostały zalane wodą i ognisko nie da się tak zaraz rozpalic.

Staćzak zamyślił się, a na twarzy jego odbił się wyraz troski.

— Co robić?

Nie szło mu o siebie, nie szło mu o życie swoje, lecz troszczył się o tych wszystkich, co się z nim na pokładzie «Polonji» znajdowali. Szło mu o Bonieckiego, któremu tak dużo zawdzięczał, szło mu o mężną, nieustraszoną Marynię, co z taką odwagą twarzą w twarz niebezpieczeństwu patrzyła, szło mu o Jerlicza, który tyłu genialnych dokonał wynalazków, szło mu o profesora Narbutta, który dziełami swymi wzbogacał ubogą wiedzę polską, o marynarzy śmiałych, którzy tam na łodzi rodziny swe pozostawili, o wszystkich, wszystkich...

Niepewność jego trwała krótko. Wnet odzyskał całą swą energię, całą swą sprężystość i panowanie nad sobą.

— Zwinąć żagle! — wydał rozkaz, a zwracając się do Grzelaka dodał: — Starajcie się

jaknajprędzej puścić w ruch drugą maszynę. Sternik niech dziób statku kieruje na fale, by je przecinać.

Wykonano rozkazy jego, i «Polonja» wśród mroku nocy, przemykać się zaczęła z fali na fale, miotana przez nie szarpana.

Huk wybuchu, wynikłe na pokładzie zamieszanie, oraz zagaśnięcie światła elektrycznego, wywabily wreszcie na pokład Jerlicza, który od rana siedział w kajucie swojej, zajęty tam jakąś pracą, pochłaniającą oddawna całą jego uwagę.

Zdziwienie wykrzywiło twarz jego, gdy spostrzegł srożącą się burzę. Chwiejąc się na nogach, chwytając się po drodze wszystkich napotkanych przedmiotów, oblewany strumieniami deszczu, oraz falami wody, które go o mało co nie splukały z pokładu, z trudem przedostał się do Stańczaka, którego, krzycząc głośno, nieomal że do ucha, zapytał:

— Co się stało?

Stańczak zrazu nie dosłyszał w poszumie wichury zapytania, domyślił się go raczej, odpowiedział mu też, starając się przekrzyknąć ryk burzy:

— Maszyna się zepsuła... śruba nie działa... jesteście zdani na łaskę burzy!

Jerlicz zamyślił się przez chwilę, wreszcie uderzył się dłonią w czoło i zawołał:

— Mam!.. mam!.. — poczem zwracając się

do Stańczaka rzekł: — Każcie wydobyć ze składu skrzynię N-r 27.

Ten ze zdziwieniem spojrział na niego, lecz nie pytając o nic, wydał rozkaz Krempie i Kabtkowi.

Udali się zaraz do składów, by wydobyć żadaną skrzynię, Jerlicz zaś w towarzystwie dwóch z pośród kadetów skierował się do swej kajuty.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy skrzynia ze składów znalazła się na pokładzie; Jerlicz powrócił, niosąc wraz z kadetami, jakby maszynę jakąś.

Stańczak z Peńskim, po bliższem przyjrzeniu się jej, poznali w niej jeden z owych motorów z laboratorjum w Mokotowie.

Jerlicz ustawił go na pokładzie, przeprowadził od niego kabel jeden, którego koniec zanurzył w falach oceanu, drugi zaś połączył ze śrubą okrętową. Niezależnie od tego przeprowadził połączenie i do kabla, z którego szły druty do lamp elektrycznych. Cała ta robota, odbywana pośpiesznie przez całą prawie załogę, przy energicznej komendzie Jerlicza, w krwawem świetle pochodni, trzymanyh przez pana Bonieckiego i imć pana Kleofasa Żarnickiego, przy akompaniamencie poryku burzy, szalonej wichurze, gromach i błyskawicach, wyglądała nadzwyczaj fantastycznie. Przyglądały się jej beczynnje trzy osoby: Marynia, Basia i palacz Więciorek. Na ustach tego ostatniego Stań-

czak, odwróciwszy się niespodziewanie, pochwycić zdołał uśmiech pełen ironji i drwin.

Skończono wreszcie przygotowania. Na znak Jerlicza wszyscy odstąpili od tajemniczego motoru, on zaś nacisnął w nim jakiś guziczek i w jednej chwili jakby prąd jakiś wstrząsnął «Polonją», lampy elektryczne zapłonęły jasnym światłem, śruba poruszać się zaczęła w szybkim obrocie i okręt szybciej posuwać się zaczął naprzód.

Sternik schwycił za koło sterowe i kierując się busolą, dążyć zaczął w kierunku północy.

Jednocześnie ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, fale wokół okrętu uspokoiły się, ułożyły spokojnie, i choć naokół szalała burza, choć bałwany wspinały się w górę jedne na drugie, na pewnej przestrzeni wokół okrętu panowała cisza, sunął po gładkiej prawie, lekko tylko zmarszczonej powierzchni morza.

Wszyscy ze zdumieniem patrzeli na to zjawisko. Marynarze spoglądali na Jerlicza z pewną zabobonną trwogą w oczach, jak na czarodzieja, w mocy którego leży uśmierzenie rozszalałych mórz, dokonywanie czynów nadprzyrodzonych.

Uśmiech tryumfu ukazał się na ustach Jerlicza.

— A więc nie omyliły mnie obliczenia moje. Potrafiłem wyciągnąć i zmusić do pracy elektryczność ziemi, lecz nie wiedziałem, czy

uda mi się tego dokonać z elektrycznością fal morskich. I oto próba się powiodła. Te wzburzone fale, grożące nam zagładą, ujarzmiłem, zmusiłem do pracy. One to dostarczają nam energii, poruszającej śrubę «Polonji», one to dają nam światło.

— Lecz czemże wytłomaczyć to — spytał Boniecki — że morze tu wokół okrętu, jest tak gładkie i spokojne, podczas gdy tam tak szaleje?

— To jest bardzo łatwe do wytłomaczenia — odrzekł Jerlicz. — Fale morskie, podobnie jak przyływ i odpływ powstają dzięki sile przyciągania księżyca i ziemi. Pośrednią przyczyną tego bywają prądy magnetyczne, przepływające między ziemią a księżycem, oraz elektryczność, jaką przesycone jest morze. Lecz tę siłę elektryczną fal morskich zmusiłem do pracy, ta częśćka oceanu, z której ją czerpię z samej natury rzeczy musi być spokojną.

Objaśnienia tego wysłuchali wszyscy z nadzwyczajnem zaciekawieniem. Nikt nie śmiał już zadawać nowych pytań, nikt nie dociekał przyczyn tych zjawisk, powodów ich, wydarzyły się naturze przez tego genialnego człowieczka o tak dziwacznej powierzchowności. Potęgą geniuszu swego wyrósł on, wyolbrzymiał i stał się najpierwszą osobą na okręcie, do której wszyscy z wielkim zwracali się szacunkiem.

Jerlicz stał nieodstępnie przy swoim motorze, pilnując pracy jego, inni zaś, zająwszy swe stanowiska, posłusznie wypełniali jego rozkazy.

Stańczak, który dawał baczne oko na wszystko, dostrzegł zarówno cień pełnego ironji tryumfu na twarzy palacza po pęknięciu maszyny, jak i pełen zdumienia, przerażenia oraz nienawiści wyraz twarzy tegoż po zastosowaniu genialnego wynalazku Jerlicza.

Zastanowiło to go i w głębi duszy zrodziło się przypuszczenie, że jednak on musi być choć częściowym winowajcą zepsucia się maszyny. Postanowił też mieć go ciągle na uwadze. Przywołał do siebie jednego z kadetów, Stanisława Remisza i rzekł:

— Moi drodzy, proszę was bardzo, miejcie na oku palacza. Nie podoba mi się ten ptaszek i mam na niego pewne podejrzenia... Pilnujcie go dobrze, nie dopuście, by nam jakiego nowego figla wyplatał.

— Dobrze, komendancie — odrzekł z ukłonem wojskowym Remisz — już ja będę mieć na niego zwróconą uwagę... I mnie się ta bestja wydała odrazu podejrzaną...

A burza szalała wokoło. Noc miała się już ku schyłkowi, na wschodzie niebo stawało się jaśniejszem, a rozpasanie żywiołów nie zmniejszało się ani na chwilę.

Marynia, pobladła ze znużenia i wyczerpa-

nia, wytrwale stała na swoim stanowisku, wspierana przez Basię, nie mogąc ani na chwilę odebrać oczu od toczącej się walki z żywiołem. Połączonym dopiero naleganiom ojca i Stańczaka udało się nakłonić ją do udania się na spoczynek.

I to jeszcze, zastrzegła sobie u Stańczaka, że obudzi ją, gdy zajdzie coś niezwykłego w przyrodzie.

Koło południa jednak burza uspakajając się zaczęła, pod wieczór morze wygładziło się zupełnie, a na zachodzie ukazało się pyszne, w purpurze zachodzące słońce.

«Polonja» w czasie tej burzy zdała egzamin swej wytrzymałości. Najmniejsza nawet cząsteczka nie uległa w niej uszkodzeniu, prócz maszyny.

A i to zepsucie, gdy Grzelak zabrał się do oczyszczania i naprawienia, wraz z pomocnikiem swym Pawelskim, okazało się dziełem rąk zbrodniczych. Mianowicie jeden z wentyli, odprowadzających parę, okazał się szczelnie zatkanym, przez co para, nie mając ujścia, rozsadziła część kotła.

— Dziękować Bogu — mówił Grzelak, pokazując to Stańczakowi — że skończyło się na tem. A toż wybuch ten mógł rozsadzić cały kocioł i znieść pokład.

A więc był to czyn zbrodniczy!.. To nie dzieło wypadku.

Zbrodniarz ten znajdował się na okręcie...
Kto nim jest jednak?..

Pytanie to tkwiło w mózgu Stańczaka, nie dając mu ani chwili spokoju. Kto nim jest i czy nie grozi im czasem nowe od niego niebezpieczeństwo?

Podejrzenia jego co do Więciorka wzrosły, spotęgowały się.

Na drugi dzień wieczorem dopłynęli do miasteczka Hammerfest, miejscowości najdalej pouniętej na północnem wybrzeżu Norwegji.

W porcie znaleźli już stojącą olbrzymią «Germanję»...

I na niej znać było ślady minionej burzy... Wyszła z niej nawet z większymi szwankami, niż «Polonja»...

Stańczak z Bonieckim wysiedli na ląd, by zasięgnąć niezbędnych informacji. Nie były one zbyt pomyślne, gdyż o dostaniu się do wysp Szpicbergen nie mieli nawet na razie co i marzyć, gdyż w tej porze roku otaczały je jeszcze olbrzymie lody, stanowiące nieprzebytą przeszkodę. Stanęli więc wobec zapytania:

— Co robić dalej?..

Powrócili śpiesznie na «Polonję» i zwołali do salonu naradę, w której udział oprócz nich wziąć mieli: Jerlicz, Peński, Narbutt i kapitan Browicz.

VI.

Prowokacja „Germanji“.

W salonie «Polonji», wokoło stołu, założonego mapami wyłącznicie okolic bieguna północnego, na miękkich fotelach, zasiedli uczestnicy narady.

Stańczak przedstawił sprawę całą i w końcu zapytał zebranych, co mają robić, prosząc ich o udzielenie rady i wypowiedzenie swoich poglądów.

Przez chwilę trwało milczenie, wszyscy namyślali się nad odpowiedzią, gdy naraz zerwał się z miejsca swego Jerlicz i zawołał:

— A więc na razie nie możemy myśleć o dostaniu się okrętem do wysp Szpicbergenu. Po co nam to jednak? Po co? Czyż nam nie będzie wszystko jedno, czy będziemy jechać aeroplanami 10 czy 20 godzin. Wszak siła elektryczna, poruszająca je, wystarczy na długie, bardzo długie godziny. Poczóż więc traćć czas na próżne oczekiwanie na otwarcie się drogi do tych wysp, gdy tu, gdziekolwiek złożyć możemy nasze aeroplany i wyruszyć w drogę. W ten sposób nie damy się ubiedz Prusakom, i odniesiemy nad nimi zwycięstwo.

Jerlicz skończył mówić i powiódł wokoło wzrokiem, jakby czekając odpowiedzi od zebranych.

Wszyscy jednak milczeli. Po chwili dopiero wstał Peński i rzekł:

-- Że plan p. Jerlicza jest dobry, i że wykonać go natychmiast należy, o tem nie może być nawet dwóch zdań. Tylko ja ze swej strony wprowadziłbym w nim pewne zmiany. Mianowicie: wszak idzie nam o to, ażeby cała wyprawa nasza pozostała w tajemnicy, zwłaszcza zaś przed Niemcami, którzy tuż obok nas na swej «Germanji» się ulokowali. W tym celu proponuję, ażeby «Polonja» posunęła się trochę na północo-wschód, tam odszukała jaką pustą wyspę z wygodnym do wylądowania portem. Zbudujmy tam domek, urządzmy warsztaty, potrzebne do zmontowania aeroplanów i stamtąd wyruszmy w drogę. Zanim Prusacy ze swoim Zeppelinem wybiorą się ze Szpicbergenu, my już dawno z wyprawy powrócimy.

Zmiana ta zyskała ogólną aprobatę: zdecydowano wyruszyć w drogę nazajutrz rano, gdyż do tego czasu miała być zreperowaną i oczyszczoną maszyna parowa.

Korzystając też z pozostałego jeszcze czasu, pan Boniecki w towarzystwie córki i profesora Narbutta, udał się na wycieczkę po mieście i okolicy.

Hammerfest, to mała, rybacka miejscina z domkami jakby na prędcie zbudowanemi, ze stacją telegrafu i faktorjami handlowemi, a po za niemi na krańcach miasta mnogimi namiotami

Lapończyków, ze stadami renów, pasących się na okrytych śniegiem równinach.

Znać już było wpływ budzącej się wiosny. Temperatura była względnie łagodną, gdyż wynosiła zaledwie 1 stopień zimna, na wielu wzgórzach śniegi topniały i widać było nagie ich szczyty. W powietrzu unosiły się stada ptactwa przelotnego. Pan Boniecki, który był namiętnym myśliwym, zdjął przewieszoną przez ramię dubeltówkę, wymierzył do przelatującego nad ich głowami stada kaczek i wystrzelił. Huk wystrzału rozległ się daleko, budząc odległe echa górskie, i dwie kaczki, rażone śrutem, runęły na ziemię prawie że u stóp jego. Podniósł je, by przytroczyć do torby, a profesor rozpoznał w nich kaczki edredonowe.

— One to dostarczają — rzekł tonem objaśnienia do Maryni — owego cennego puchu edredonowego. Wyścielają nim gniazda swe, na wysokich i niedostępnych skalach, skąd wydzierają je śmieli myśliwcy, podobnie jak i jajka, będące w wysokiej cenie.

Jeszcze raz wymierzył Boniecki do mnogich stad alk i nurków, które obsiadły skaliste wybrzeże, i położywszy z nich parę, podczas gdy reszta z trudem, kołysząc się i podskakując na krótkich swych nogach, podążyła ku morzu, ze zdobyczą swą skierował się w stronę portu.

Znajdowali się już niedaleko od «Polonji»,

gdy drogę zastąpił im pijany widocznie marynarz z «Germanji», i wymachując pięściami, miotać zaczął na nich wymysły jakieś po niemiecku.

Poblądł z gniewu pan Boniecki i w pierwszym porywie oburzenia, zerwał z ramienia dubeltówkę, by srogo ukarać zuchwalca. Bóg wie co by się stało, gdyby nie zjawił się niespodziewanie, jak z pod ziemi wyrosły Stańczak, który schwytawszy za kołnierz buszującego Niemca, uniósł go, jak piórko w powietrze i odrzucił na bok ulicy, gdzie ten, bełkocąc coś niewyraźnie, legł w śniegu.

— Państwo pozwolą na okręt—rzekł Stańczak.

Idąc tuż obok, opowiadał przez drogę, że zachowanie się Niemców przez cały dzień było prowokujące, wyzywające, że dążyli oni najwidoczniej do wywołania jakiegoś zatargu, któryby wpłynął na powstrzymanie «Polonji» w dalszej jej podróży na północ. Załoga jednak nasza zachowywała się nadzwyczaj powściągliwie i na wszelkie zaczepki Prusaków odpowiadała milczeniem.

Obawiając się, że zaczepić oni mogą również pana Bonieckiego, jak i córkę jego, podążył Stańczak na ich spotkanie, chcąc zapobiedz ewentualnemu starciu. Na szczęście udało mu się przybyć w porę.

Boniecki gorącem uściśnieniem dłoni po-

dziękował za tę interwencję; niemniej szczerze podziękowała mu Marynia za uchronienie ojca od popełnienia zbrodni.

Stanęli wreszcie na okręcie, gdzie Boniecki oddał swą zdobycz imć panu Kleofasowi.

Ten zważył ją w rękę, wreszcie mruknął:

— Kaczki jak kaczki, można z nich jeszcze zrobić coś przyzwoitego. Ale z tego co zrobić?.. takiej zwierzyny jak żyję nie widziałem!

Tu wskazał na trzymane w rękę alki i nurki.

Ten jego pelen strapienia i zakłopotania monolog posłyszał prof. Narbutt; uśmiechnął się i rzekł:

— Panie Kleofasie, nie turbuj się tem tak bardzo i rzuć je odrazu albo psom na pożarcie, albo do morza... Żeby tu byli jacy Lapończycy albo Eskimowie, wyprawiłbyś im temi ptakami ucztę nielada, lecz europejczycy jeszcze się do nich nie przyzwyczaili.

Posłuchał rady profesora pan Kleofas i wrzucawszy alki do morza, pośpieszył do kuchni, by zająć się przygotowaniem kaczek.

Staćczak tymczasem ze zmarszczoną brwią słuchał raportu kapitana Browicza o tem, jak marynarze niemieccy napadli na lądzie na Kabatka i pobili go dotkliwie. Byłoby z nim może znacznie gorzej, gdyby mu byli w porę nie podążyli na pomoc koledzy z «Polonji».

Wogóle w całym zachowaniu się Niemców znać było prowokację, wyraźnie nakazaną im

z góry. Wszelkimi sposobami starali się uczeni pruscy powstrzymać okręt polski w jego dążeniu ku biegunowi, byle tylko nie pozwolić sobie wydrzeć palmy zwycięstwa.

Oburzenie zdjęło wszystkich na takie zachowanie się na terytorjum mocarstwa, które jednakiej gościnności używało wszystkim.

Zawrzała krew we wszystkich i pan Boniecki, polecivszy wystrzałem z działa dać sygnał «Germanji», ujął za tubę i gdy na mostku tejże ukazał się oficer, zawołał po francusku:

— Stanisław Boniecki, właściciel okrętu «Polonja» wzywa kapitana «Germanji» na rozmowę.

— Dobrze! — zabrzmiała odpowiedź z «Germanji» i oficer znikł z mostku, na którym po chwili ukazał się znów w towarzystwie mężczyzny barczystego, z długą rudą brodą, w mundurze kapitańskim. Za nimi widać było paru mężczyzn o wybitnie teutońskim typie.

Kapitan przyłożył tubę do ust i rzekł głosem pełnym dumy:

— Kapitan «Germanji», Fryderyk Wilhelm Ritter von Jagow. Co pan żąda ode mnie?..

A na to pan Boniecki odrzekł mu przez tubę:

— Zarówno ja, jak i załoga okrętu mego staliśmy się ofiarami brutalnych napaści ze strony marynarzy pańskich. Napaści te nie godne są ludzi, należących do narodu, który

chce się zaliczać do rzędu ludów ucywilizowanych... Zawiadamiam więc pana o powyższych zajściach i uprzedzam, że na przyszłość podobnych zaczepek płazem puszcząć nie będę... Każdy z marynarzy moich zostanie uzbrojony, i w razie najmniejszej zaczepki, czy to słownej, czy czynnej, bronią odpowiadać na nią będzie. Niezależnie od tego o postępowaniu pańskim zawiadamiam władze miejscowe i udaję się pod ich opiekę.

Gardłowy, pelen tłumionej nienawiści śmiech kapitana «Germanji» był odpowiedzią na słowa Bonieckiego. Po chwili odezwał się:

— Zapominasz pan o tem, że «Germanja» należy do wielkich, potężnych Niemiec, i że ten, kto by ośmielił się zaczepić ją, naraża się na walkę z niemi.

— Ale należenie do owych wielkich, potężnych, jak je pan nazywasz, Niemiec — odrzucił mu pan Boniecki — nie uprawnia was jeszcze do popełniania czynów nikczemnych, brutalnych... I najsłabsze nawet państwo, będące państwem ludzi uczciwych, nie zawahałoby się stanąć po stronie sprawiedliwości i ukrócić pychę waszą, Prusacy!

Jakby w odpowiedzi na słowa jego, od przystani oddzielił się torpedowiec pod flagą norweską i całą siłą pary pomknął w stronę «Polonji».

To Stańczak, który udał się z zażaleniem

do władz norweskich na niegodne postępowanie «Germanji», wyjednał to, że torpedowiec przybywał, ażeby wziąć «Polonję» pod swoją opiekę i zabezpieczyć ją przed napaściami potężnego nieprzyjaciela i konkurenta.

Kapitan torpedowca zawiadomił kapitana von Jagow o zażaleniu dowódcy «Polonji», i uprzedził go, że w razie powtórzenia się podobnych zajść, będzie musiał domagać się, ażeby «Germanja» opuściła port w Hamerfest.

— Niezależnie od tego — mówił kapitan torpedowca — uprzedzam pana, że w drodze dyplomatycznej o postępowaniu pańskim zawiadomiony zostanie rząd niemiecki w Berlinie.

Zgrzytając ze wściekłości zębami kapitan «Germanji» musiał być posłuszny wezwaniu temu, zwłaszcza, że poparte było ono szeregiem paszcz armatnich, wyglądających ze strzelnic torpedowca.

Pokornie — słodkim głosem zawiadomił kapitana norweskiego, że zastosuje się do woli jego i śląc w stronę «Polonji» nienawistne spojrzenie, rozkazał cofnąć «Germanję» jaknajdalej od «Polonji».

Postąpienie przedstawiciela rządu Norwegji przyjęły załogi statków handlowych angielskich, rosyjskich i szwedzkich huczniemi wivatami, jakby radując się niepomiernie z upokorzenia butnej «Germanji».

Na «Polonji» również zapanowało zadowo-

lenie z powodu ukrócenia zuchwałych Prusaków. Pan Boniecki jednak i Stańczak jasno zdawali sobie sprawę z tego, że ustąpili oni tylko przed siłą, i że w przyszłości korzystać będą z każdej okazji, byle tylko pomścić na «Polonji» swe upokorzenie.

Nie zawsze zaś będzie pod ręką torpedowiec norweski, któryby stanął w obronie pokrzywdzonych, siły zaś i broń «Polonji» nie wystarczały dla obrony jej przed «Germanją». Po krótkiej więc naradzie zdecydowali się przyspieszyć swój wyjazd i dokonać go w ciągu nocy.

Wydali odpowiednie rozkazy i korzystając z motoru Jerlicza, zamieniwszy tylko pożegnanie z torpedowcem norweskim, o północy wyszli z portu, kierując się w stronę północną.

Przed wyjazdem stawił się u Stańczaka Remisz i złożył raport:

— Panie komendancie... widziałem, jak wieczorem Więciorek zamieniał z «Germanją» przez okienko pod pokładem sygnały świetlne.

VII.

Tragedje bieguna.

Prędko pruća fale «Polonja» mknąc naprzód, przed siebie, do upragnionego celu.

W przeciągu kilkunastu godzin od wyjazdu posunęli się dość daleko na północ od Hammerfestu, szło teraz tylko o wynalezienie odpowiedniej wyspy, na której mogliby rozpocząć montowanie aeroplanów.

Kapitan Browicz, stojąc na mostku kapitańskim, przez lunetę rozpatrywał się w okolicy, azali nie ukążą się gdzie zarysy upragnionej wyspy.

Promienie słoneczne, padając z ukosa, oświetlały jasno wszystko wokoło, lecz nie ogrzewały. Zimno było dość znaczne, jak na koniec kwietnia, gdyż dochodziło do—12°.

Naraz rozległ się okrzyk:

— Lodowce przed nami!.

To krzyczał Jost, stojący na przedzie okrętu.

Pobiegli wszyscy w jego stronę, a on wskazywał im unoszone w oddali przez fale góry lodowe.

Pływały tam, jedna za drugą, o przeróżnych fantastycznych kształtach... to do gór olbrzymich podobne, to do grot, to znów do ruin świątyń starożytnych. Zbliżały się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie przepłynęły obok «Polonji» z powagą, z majestatem.

Wszyscy przeprowadzali je oczami. Były one zwiastunami, że są już blisko tej krainy wiecznych lodów i śniegu, do której dążyli, a której tajemnice wydrzeć usiłowali.

Tylu śmiazków przed nimi próbowało do-

konać tego, tylu życiem przypłaciło zuchwalstwo swoje. Czy im uda się dokazać tego?.. Czy i oni powiększą liczbę ofiar bieguna?

Pytanie to mimowoli cisnęło się na usta wszystkich na widok owych gór lodowych, płynących na spotkanie.

— Niedługo napotkamy ławice lodowe — rzekł Szymon Bauer, który już nieraz ze statkami wielorybniczemi zapuszczał się w te stroiny — trzeba się mieć na baczności, by te góry lodowe nie zmiażdżyły lub nie uszkodziły «Polonji».

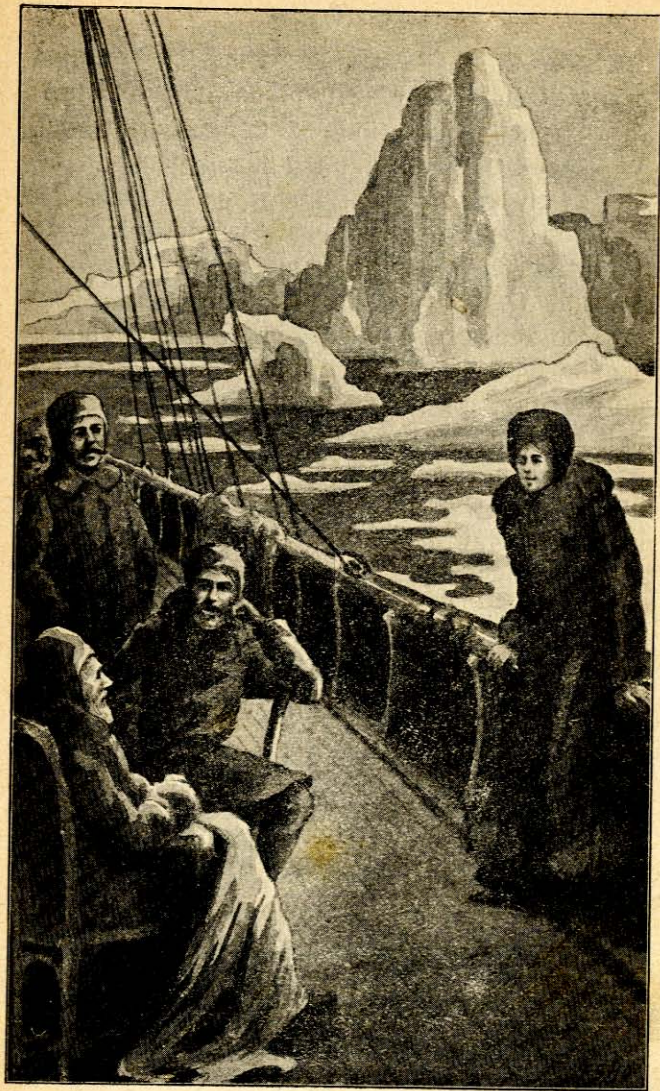
Wzmocniono więc na noc strażę, które zmieniać się miały co godzinę. Zresztą, wobec tego, że słońce letnie zachodziło tylko na krótką chwilę, wszyscy prawie siedzieli na pokładzie, zachwycając się czarownym widokiem, prócz tych, co stali na posterunkach a prof. Narbutt opowiadał o dawniejszych podróżnikach do tych mroźnych krajów.

— Usiłowania dostania się do bieguna datują się od drugiej połowy XVI wieku, kiedy to w roku 1576 Anglik, Marcin Frobisher, szukając północnej drogi do Indji, puścił się tam z trzema lichemi statkami. Dotarł on do dalekiej północy, gdyż aż do zatoki Hudsonskiej, ecz gdy mu drogę zamknęły lody, przeląkł się i zawrócił, przywożąc z sobą, jako dziw, jednego z krajowców i wtedy to właściwie Londyn mógł podziwiać pierwszego Eskimosa.

Podnieciło to znacznie ciekawość, zwłaszcza, że wyobrażano sobie, że w krajach podbiegunowych znajdują się obficie złoto i srebro. Zachęceni tem kupcy londyńscy wyekwirowali dwa okręty, noszące nazwy «Słońce» i «Księżyc» i oddawszy je pod dowództwo Jana Davisa, znakomitego żeglarza Sandridge, wysłali go celem odszukania północnej drogi do Indji.

Choć bardzo wątle były te statki, odważnie puścił się w drogę śmiały żeglarz, a ominąwszy wybrzeża Grenladji, znalazł się w całym labiryncie lodowców i dążył tym szlakiem morskim, który nazwę od imienia jego otrzymał. Nie znalazł tam coprawda lądów, lecz zwrócił się ku brzegom na zachód i dopłynął do zatoki Northumberland, którą uważał za właściwą drogę. Następnego roku chciał dążyć dalej, lecz ławice lodowe zagroziły mu drogę. Niezrażony tem żeglarz w 1587 roku puścił się na nowe poszukiwania, lecz zaledwie dotarł do 73°, musiał znów zwrócić się ku południowi i znalazł się w tej samej zatoce. Śniegi, mrozy, lodowiska zwyciężyły tego dzielnego żeglarza, który musiał się wyrzec myśli odnalezienia drogi do Indji i powrócić do kraju.

Liczbę ofiar bieguna otwiera pierwszy Henryk Hudson, który już trzykrotnie próbował drogą północną dotrzeć do Indji i do Chin. W r. 1610 kompanja Zachodnia Indyjska oddała



...wszyscy prawie siedzieli na pokładzie...

mu pod komendę statek. Udał się on nim przez cieśninę Davisa; dopłynął do zatoki, która otrzymała jego imię i tam przezimował. W czerwcu roku następnego rozpoczął odwrót, lecz zwały lodowe zabarykadowały mu przejście.

Głód i nędza zapanowały wśród załogi, aż wreszcie wybuchnął wśród niej bunt. Przywódcy zmusili dowódcę swego do opuszczenia okrętu. Poszedł przed siebie, przez lody i śniegi, z dziewięcioma wiernymi towarzyszami i od tej pory żadnej już wieści o nim nie było. Zginęli zapewne wszyscy wśród pustyni lodowej.

Ten sam los spotkał i buntowników. Zginęli prawie wszyscy, z wyjątkiem kilku niedobitków, którzy ujrzeli brzegi ojczyznej Irlandji.

I napróżno słała Anglja wyprawę za wyprawą, celem zdobycia wieści o losach tej wyprawy, jak również i odnalezienia przejścia północno-zachodniego.

Dopiero Wiljamowi Baffinowi, jednemu z najuczeńszych żeglarzy swojego wieku, udało się dowieść, iż jeżeli istnieje jakieś przejście północne, to poszukiwania skierować należy w stronę cieśniny Davisa, a nie w kierunku, w jakim podążał Hudson.

Kilka razy jeszcze próbowała Anglja dokonać tego, acz bezowocnie i wreszcie zapanowała w tej dziedzinie 100 letnia prawie cisza. Dopiero w r. 1741 Duńczyk Bering, pozostający w służbie rosyjskiej, podążył ku pół-

nocy z dwoma statkami z Petropawłowska. Nim jednak dotarł do celu, szalona burza rozdzieliła jego okręty. Bering na jednym z nich podążał dalej, lecz gdy szkorbut powalił połowę załogi, a wreszcie i jego samego, zmuszony był oddać dowództwo porucznikowi Wanel i na jednej z napotkanych wysp przezimować. Gdy zima, ostra nadzwyczaj, przeminęła, szczupła garść tych, co ją przeżyć zdołali, zbudowała ze szczątków statku galereę, na której dotrzeć zdołali do ziemi Kamczadłow. Tam też w dniu 8 grudnia zmarł Bering.

Anglicy, opanując wybrzeżami Ameryki Północnej, próbowali dotrzeć do morza Północnego lądem. Na liście śmiałych podróżników w tym kierunku widnieją dwa nazwiska: Samuela Hearna i Aleksandra Machenzie.

Sprawą odszukania północnego przejścia zajmował się również i znakomity żeglarz, który prawdziwy zaszczyt Anglii przynosi, James Cook. Po odkryciu wysp Sandwich w r. 1778, skierował się ku północy i zatrzymał się w punkcie, w którym się Ameryka znajduje najbliżej Azji. W żaden jednak sposób nie mógł przekroczyć 70 stopnia szerokości północnej, dokonał jednak drobnozgowych badań tych mórz i wybrzeży.

I znów długa w tych poszukiwaniach zapanowywa cisza. Dopiero w r. 1817, gdy wielorybnicy przywieźli wiadomość, że tam na da-

lekiej północy ruszyły złomy lodowe, dzięki nadzwyczaj łagodnej zimie i ciepłemu latu, rozbudziła się wśród Anglików namiętność do poszukiwań w strefach podbiegunowych.

Ogłoszono dwie nagrody: jedną 20 000 funtów sterlingów temu, kto odnajdzie przejście północno-zachodnie, drugą 5.000 funt. sterl. temu, kto zdoła przekroczyć 110 stopień długości zachodniej.

Pierwsza wyprawa, pod wodzą kapitana Buchana, nie odniosła żadnego rezultatu. Drugą ekspedycją dowodził kapitan John Ross, a za pomocnika miał porucznika Wiljama Parry. Na dwóch statkach «Izabelli» i «Aleksandrze» opuścił on Anglię w Kwietniu 1818 roku. Dotarłszy do cieśniny Davisa, zobaczył przez mgłę pasmo gór, które przekonały go, że to jest tylko zatoka, a nie przejście.

W Anglii uznano, że Ross nie spełnił tego, czego żądano, i następną wyprawę na statkach «Hekla» i «Griper» powierzono porucznikowi Parry'emu. Ten dotarł do przejścia nazwanego cieśniną Barrowa, i do owego 110 stopnia długości zachodniej, za co otrzymał nagrodę 5,000 funt. sterl.

Gdy w drodze zaskoczyły go lody, musiał rąbać sobie przejście, dopóki w miejscu bezpiecznym nie rozłożył się na zimowisko. Po puszczeniu lodów podążył dalej, ale napotkawszy olbrzymie zwały lodowe, zwątpił w powo-

dzenie dalszej wyprawy, i powrócił do Anglii, przyprowadzając i statki i załogę w stanie bardzo pomyślnym.

Jednocześnie prawie wyruszył w drogę ku biegunowi północnemu John Franklin z Richardsonem. Odkryli tam wielką ilość wysp i zatok, lecz dotarli zaledwie do 72 stopnia szerokości północnej. Po wielu strasznych trudach i niepowodzeniach wrócili do ojczyzny dopiero w r. 1822. Również niepomyślnymi były trzy następne podróże Parry'ego, który w ostatniej z nich utracił nawet okręt, zapasy jednak przeniósł na ląd i zagrzebał w piasku. W sześć lat potem uratowały one życie załozce statku, prowadzonego przez Rossa, który niezmordowanie dążył do wydarcia tajemnicy bieguna północnego.

Znalazł on bogatego kapitalistę, Feliksa Bootha, który ofiarował na tę wyprawę 17,000 funt. szterl. Kupiono za to dość liche statki, który zaopatrzono w żywność, i na nim to w r. 1829 wyruszono w drogę.

Straszną była ta podróż...

Przedewszystkiem przed oczami żeglarzy złudna fata morgana północy przeróżne cudowne malowała obrazy. Lecz wkrótce twarda rzeczywistość dawać się im poczęła we znaki. A więc głód i zimno, na co wielką pomocą okazały się im zapasy, pozostawione przez Parry'ego w piasku wybrzeża.

Wichry, zimna, lodowce, burze szalejące na morzu i miotające statkiem jak wątłą łupiną, wszystko to się dało porządnie we znaki nieszczęsnym żeglarzom. Zamknięci przez lody, musieli myśleć o przepędzeniu wśród nich zimy. Ośm miesięcy trwała ich niewola. Wreszcie w dniu 1 Czerwca 1850 roku, odkryli biegun magnetyczny ziemi pomiędzy 70°5' szerokości północnej i 79°7½, długości zachodniej.

Dwie jeszcze zimy spędzili wśród strasznych lodów, aż wreszcie 28 sierpnia 1852 r. spostrzegli żagiel na morzu... Zaczęli dawać znaki, lecz minął on ich, nie spostrzegając sygnałów. W kilka godzin potem spostrzeżono drugi żagiel... lecz i ten mimo sygnałów podążył dalej... Tułacze nieszczęśni stracili już nadzieję, rozpacz bezgraniczna ich ogarnęła, gdy naraz dostrzegli, że okręt spuszcza szalupę... Byli ocaleni... Statek «Izabela» przewiózł ich do Anglii, gdzie do publicznej podali wiadomości wyniki poszukiwań.

Najtragiczniejszą w dziejach wypraw podbiegunowych jest ekspedycja kapitanów Franklina i Croziera na okrętach «Erebus» i «Terror». Ze stu dwudziestu dziewięciu ludzi, którzy przyjęli udział w tej wyprawie ani jeden nie ujrzał z powrotem ziemi ojczyściej; dzieje ich cierpień strasznych, przejść i męk konania nie doszły do wiadomości ludzkiej. Zginęli bez wieści wśród lodów, mężni pionierzy wiedzy,

mężennicy nauki. Anglja wierzyć nie chciała w zagubę tych ludzi. Słano wyprawę za wyprawą na ich poszukiwania; najdzielniejsi żeglarze, znawcy krain i mórz podbiegunowych stali na ich czele. Wszystko napróżno! Pustynia lodowa zazdrośnie kryła swą tajemnicę.

W parę lat potem dopiero udało się doktorowi Rac odnaleźć u eskimosów ślady ich bytności. Według zeznań tychże garść wynędzniałych rozbitków zginęła marnie na ich wybrzeżu z nędzy i głodu.

Wynikami tych wypraw było twierdzenie, że ląd amerykański nie dochodzi do samego bieguna, oraz, że Ameryka nie łączy się z Grenlandją.

Dopiero w roku 1850 udało się kapitanowi Mac-Clure odnaleźć po długich trudach to od tyłu wieków poszukiwane przejście północno-zachodnie. Cztery lata tułał się po morzach północy Mac-Clure, stracił wszystkie okręty i dopiero w r. 1854 przywieziony został wraz z załogą do Anglii przez inny okręt.

Również na poszukiwania wyprawy Franklina wysłany został przez bogatego amerykańczyka Grinella — dr. Kane.

Po wielu trudach i przejściach zdołał on dotrzeć do 81½° stopnia szerokości północnej. Śladami jego usiłował iść dr. Hayes, lecz dalej posunąć się nie zdołał.

W czasie owym na widownięć wypraw pod-

biegunowych wystąpili Szwedzi, z których Nordenskjöldowi udało się posunąć do 81°42 szerokości północnej.

Wreszcie i Niemcy zapragnęli sięgnąć po laury zdobywców bieguna północnego. Ci, którzy nie znikczemnieli jeszcze i nie zwyrodniali pod wpływem junkierskich Prus, zorganizowali wyprawę na okręcie «Germania», w r. 1868. Za pierwszym razem udało się im dotrzeć do 81°5 szerokości północnej.

Drugą wyprawę zorganizowano w następnym roku, na tejże samej «Germanji», oraz na drugim parowcu «Hanzie», który po wielu przejściach zmiażdżony został przez lody.

«Germanja» wyszła z tej wyprawy szczęśliwie, i po odkryciu przylądka Bismarcka, wróciła do ojczyzny.

Od czasu tego w kronikach wypraw podbiegunowych notowane są nazwiska Anglików: Whympera, Wiggonsa, Naresa i Markhama; Amerykanów—Halla, Altmana i Johnsona; Szkota — Leigha; Szwedów — Nordensklöjda i Tobiasena; Austriaków — Payera, Weyprechta i hr. Wilczka.

Największe wyniki zdobyć zdołał Szwed Eryk Nordenskjöld, który dwukrotnie opłynął morze północne około wybrzeży europejskich i azjatyckich i zbogacił naukę wielu odkryciami.

Tragicznym był los «Jeannetty», statku, wyprawionego do bieguna północnego przez

redakcję New-jorskiego «Heralda» — Gordon Benueta, pod wodzą kapitana Delonga, w r. 1879.

Zapędzony przez wichry ku północo-zachodowi, zdruzgotany został przez lody, a załoga na trzech łodziach ratunkowych żeglowała ku ujściom Leny. Dwie z nich dobiły do wybrzeży Syberyjskich, gdzie inżynier Melville, dowodzący nimi, napotkał krajowców, którzy doprowadzili go do posterunku rosyjskiego. Niezwłocznie puścił się inżynier Melville na poszukiwanie kapitana Delonge, lecz pomimo, że natrafiał na ich ślady, doścignąć ich nie mógł.

Dopiero w r. 1882 odszukał ich, ale znalazł już tylko trupy tych męczenników wiedzy. Obok nich leżał dziennik kapitana Delong.

Niesłychany tragizm wieje z tych kart pamiętnika. Krok za krokiem opisaną tam jest męczeńska epopeja tych wędrowców, w poszukiwaniu dróg ratunku, w poszukiwaniu wybawienia od śmierci. W miarę ubytku sił, coraz krótszemi stają się te opisy... A w ostatnich dniach tylko krótkie wzmianki o śmierci towarzyszy podróży... słowa «Collins kona...» kończą ten pamiętnik.

Znać, że ten, kto kreślił te słowa, nie miał już siły pisać dalej, że pióro wypadło ze sztywniejącej dłoni, że patrząc na męki konania towarzyszy, widział przed oczami nieubłagany los, który go czekał, a którego uniknąć nie mógł.

Poszukiwania «Jeannetty» pociągnęły za sobą kilka jeszcze wypraw, wszystkie bez rezultatu. W r. 1881 urządzono cały szereg stacji na wybrzeżach morza północnego.

Wreszcie Amerykanie najdalej posunęli swe badania na Północy. Mianowicie w r. 1882 kapitan Lockwood dotarł do 83° 25' 8" szerokości północnej.

Liczbę tragicznych ofiar bieguna powiększył w r. 1897 śmiały żeglarz [nadpowietrzny, Szwed André. Widząc bezowocność wszelkich usiłowań dostania się do bieguna saniami, czy statkiem, zdecydował udać się tam drogą napowietrzną.

Obliczył szybkość wiatrów, kierunek ich i balonem, zaopatrzonym w przyrząd jego pomysłu, który utrzymać go miał na pewnej wysokości, podążył wraz z dwoma towarzyszami w stronę bieguna. Od chwili tej nikomu nie jest wiadomem, co się z nimi stało. Świat żadnej o nich nie otrzymał wieści.

Zginęli bez śladu wśród pustyń lodowych, zginęli wśród strasznych, powolnych, być może, męk konania, jak tyłu, tyłu innych.

Największem powodzeniem cieszyła się trzyletnia wyprawa do bieguna Norwega, Fridtjofa Nansena. W drogę wyruszył on w r. 1893, powrócił zaś z niej w r. 1896. W podróży swej, odbytej częścią na statku «Fram», według wzoru którego zbudowaną została «Polo-

nja», częścią zaś na sankach, ciągnionych przez psy, dotarł on aż pod 86°10' szerokości północnej i 95° długości wschod. od Greenwich.

Wyprawa jego zubożyła naukę wieloma nader cennymi spostrzeżeniami.

O dwóch ostatnich wyprawach Cook'a i Peary'ego nie mam co wiele mówić, gdyż po bliższym zbadaniu okazało się, że obydwaj ci panowie, zazdroszcząc powodzenia, zwłaszcza materialnego, Nansenowi, w łatwy i tani sposób chcieli dojść do majątku.

Profesor umilkł, a wszyscy zebrani na pokładzie utkwili wzrok w przestrzeni, okrytej płynąciami w dal lodowcami. Przed wzrokiem ich, ze snujących się w oddali mgieł i oparów, wylaniały się pełne tragizmu postacie bohaterów i męczenników, którzy zginęli dla swojej idei.

To jawił się im mężny i dzielny Bering, zmożony chorobą, umierający na dzikiej, niegościnniej ziemi, po dokonaniu wiekopomnego czynu; to ginął z wiernymi towarzyszami swemi, wypędzony przez buntowników Hudson; tam znów wiła się w mękach konania załoga «Erebusa» i «Terrora», lub «Jeannetty»; dalej kapitan Delong sztywniejącą ręką kreślił ostatnie słowa swego pamiętnika; tam wreszcie ginął niedoścignawszy celu, nieszczęsny aeronauta—Andrée z towarzyszami.

Straszne, ponure obrazy...

Całe martyrologium tych bezbrzeżnych pól lodowych i śniegowych stanęło im przed oczami. Zimny dreszcz przebiegł po ich ciele i nasuwała się myśl: Co ich tam czeka?.. Jakim będzie ich koniec?.. Czy i oni zginą marnie, nie dosięgnąwszy celu, do którego dążą?.. Czy i ich czeka smutny koniec Andrée'go?

Smutek i zaduma, wywołane opowieścią profesora, powlekły lica wszystkich.

Z tego ponurego nastroju zbudził ich gromki głos Remisza, wołającego w głębi okrętu:

— Ha, mam cię nareszcie, łotrzykul!..

Jednocześnie do uszu wszystkich dobiegł odgłos toczącej się walki.

Koniec części I-ej.



45639/1

75639/4



Dodatek do Naszego Świata

Kwiecień 1912